

## **I. PRZEGLĄD SYTUACJI STRATEGICZNEJ – ASPEKTY GLOBALNE I REGIONALNE**

Cena, jaką administracja G.W. Busha podyktowała swym rzeczywistym, a zwłaszcza domniemanym wrogom za 2752 ofiary terrorystycznego ataku na WTC w Nowym Jorku, była bardzo wysoka. Mówienie o cenie jest o tyle właściwe, że amerykańscy politycy i publicyści tym właśnie starali się tłumaczyć i usprawiedliwiać krytykowane dość powszechnie działania USA, militaryzację ich polityki zagranicznej, w tym krwawy konflikt w Iraku. W ten sposób chciano ukryć fakt, iż obecna administracja posłużyła się 11 września dla uzasadnienia całej serii decyzji i działań; obok operacji wojskowych, niezwykle wysokich wydatków na zbrojenia (presja koncernów), ograniczeń swobód obywatelskich oraz forsowania pewnej koncepcji świata z hegemoniczną pozycją Stanów Zjednoczonych. Można powiedzieć, iż dla kręgów obecnie rządzących w USA „gdyby nie było 11 września czy samego Saddama, należałoby to wszystko wymyślić”. Rozległe były też implikacje międzynarodowe amerykańskiej reakcji; one również były częścią zdefiniowanej przez Waszyngton Busha ceny za 11 września. Wojna USA z Irakiem oraz jej konsekwencje międzynarodowe zdominowały sytuację na świecie; „reszta” spraw znalazła się na odległym planie.

### **WOJNA Z IRAKIEM I PORZĄDEK MIĘDZYNARODOWY**

„Nasze wojska wkroczyły do waszych miast i na wasze ziemie nie jako zdobywcy lub wrogowie, lecz jako wyzwoliciele. Nie jest zamiarem naszego rządu narzucanie wam obcych instytucji. Naszym pragnieniem jest, abyście mogli pomyślnie się rozwijać, podobnie jak w przeszłości, kiedy wasze ziemie były żyzne, a wasi przodkowie dawali światu wielką literaturę, sztukę i naukę, i kiedy Bagdad był jednym z cudów świata. Jest naszą nadzieją, że aspiracje waszych filozofów i pisarzy zostaną urzeczywistnione i ponownie lud Bagdadu będzie rozkwitał w dostatku i dobrobycie, w ramach instytucji pozostających w zgodzie z waszymi uświęconymi prawami i kulturowymi ideałami”.

– generał F.S. Maude do narodu Mezopotamii, 19 marca 1917 roku

„Władza w Iraku oraz przyszłość waszego kraju wkrótce znajdzie się w waszych rękach. Skończymy z tym brutalnym reżimem, aby Irakijczycy mogli żyć bezpiecznie. Będziemy szanować wa-

sze wielkie tradycje religijne, których zasady równości i miłosierdzia są zasadnicze dla przyszłości Iraku. Pomożemy wam zbudować pokojowy i reprezentatywny rząd, który będzie respektował prawa wszystkich obywateli. I wtedy nasze siły zbrojne opuszczą Irak. Irak, który pójdzie do przodu jako zjednoczony, niezależny i suwerenny kraj, który odzyskał należne mu miejsce w świecie. Jesteście dobrym i uzdolnionym narodem – spadkobiercą wielkiej cywilizacji, która wniosła cenny wkład w dorobek ludzkości”.

– prezydent George W. Bush do narodu Iraku, 4 kwietnia 2003 roku

Od tych cytatów prof. Niall Ferguson rozpoczął swój artykuł *Hegemonia czy imperium?* ogłoszony na łamach „Foreign Affairs”. W artykule prof. Ferguson porównuje dwa imperia: brytyjskie sprzed wieku i rodzące się amerykańskie. Na przykładzie Iraku porównanie wydaje się Fergusonowi bardzo przekonujące. „Jak pokazują cytaty, kiedy prezydent Bush zwracał się do narodu irackiego, tuż po zdobyciu przez wojska amerykańskie Bagdadu, bezbłędnie (choć z pewnością nieświadomie) naśladował retorykę zastosowaną przez dowódcę brytyjskiego, który okupował to miasto w 1917 roku. Podobieństwa nie ograniczają się do języka. W obu przypadkach wojska anglofońskie zajęły od południa kraj w ciągu kilku tygodni. W obu przypadkach ich rządy odżegnywały się od jakiegokolwiek zamiaru bezpośredniego rządzenia Irakiem i spieszyły się z zainstalowaniem rządu, który miałby bodaj pozory powszechnej legitymizacji. W obu przypadkach narzucenie prawa i porządku przyszło trudniej niż osiągnięcie zwycięstwa wojskowego (Brytyjczycy musieli użyć swych sił lotniczych do zdławienia powstania, jakie wybuchło w 1920 roku). W obu przypadkach istnienie poważnych zasobów ropy było całkiem ważnym czynnikiem, mimo przeczących temu oświadczeń”. Tyle prof. Ferguson<sup>1</sup>. Można jedynie dodać, że już od listopada 2003 roku lotnictwo amerykańskie dokonywało okresowo bombardowań poszczególnych dzielnic różnych irackich miast, na podstawie doniesień o ukrywaniu się tam powstańców.

### **Wielka mistyfikacja, czyli broń masowego zmylenia...**

Pretekstem do ataku zbrojnego na Irak było rzekome posiadanie przez ten kraj zasobów broni masowego rażenia zagrażających bezpieczeństwu międzynarodowemu. Anglosasi zgodnie twierdzili, iż Saddam narusza w ten sposób rezolucje Rady Bezpieczeństwa ONZ i jedynym sposobem powstrzymania go od użycia tej broni przeciwko innym państwom jest interwencja zbrojna, nawet jeśli nie wyrazi na to zgody Rada Bezpieczeństwa ONZ. Jak wiadomo, pod ogromną presją USA wspomaganą przez Wielką Brytanię Rada Bezpieczeństwa przyjęła w listopadzie 2002 roku rezolucję ustanawiającą najbardziej intruzywny w historii ONZ system inspekcji na miejscu. Od samego początku tych inspekcji było jednak widoczne, że dla Anglosasów kontrola ONZ miała być jedynie argumentem usprawiedliwiającym inwazję zbrojną, gdyby inspektorzy znaleźli bodaj ślad

<sup>1</sup> N. Ferguson, *Hegemony or Empire?*, „Foreign Affairs”, wrzesień–październik 2003.

potwierdzający oskarżenia Waszyngtonu i Londynu. Amerykanie już po tygodniu inspekcji zaczęli okazywać niecierpliwość i oskarżać ONZ o nieudolność. Pojawiły się kolejne oskarżenia: Saddam bawi się z inspektorami w chowanego. Nie ma na co dłużej czekać, trzeba poszukać samemu i ubiec Saddama przed wykorzystaniem tej broni w sposób zagrażający bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych. Waszyngton nie chciał słuchać szefa inspektorów ONZ, Hansa Blixa, mówiącego o aktywnej współpracy władz irackich z misją ONZ. Decyzja o ataku została podjęta znacznie wcześniej, najpóźniej latem 2002 r., i mimo sprzeciwu Rady Bezpieczeństwa Anglosasi rozpoczęły wojnę przeciwko Irakowi 20 marca 2003 roku. Ze względu na gigantyczną asymetrię potencjałów bezbronny w obliczu potęgi Stanów Zjednoczonych Irak został pokonany w kilka tygodni. Na początku maja 2003 roku prezydent Bush mógł ogłosić zakończenie działań wojennych. Rozpoczęło się natychmiastowe poszukiwanie w Iraku zakazanej broni masowego rażenia. W ciągu pierwszego półroczia poszukiwań, przy użyciu całej armii ekspertów, co kosztowało niemal miliard dolarów, niczego nie znaleziono (także mimo schwytania wielu irackich polityków i wojskowych, którzy mogliby coś ujawnić, gdyby taka broń istotnie znajdowała się na terenie Iraku<sup>2</sup>. W obliczu fiaska tych poszukiwań media światowe zaczęły mówić o „**weapons of mass deception**” lub „**weapons of mass deceit**” wymyślonych przez Busha i Blaira po to, aby uzasadnić atak na Irak<sup>3</sup>. Rozpoczęły się nawet w tych krajach dochodzenia, gdzie został popełniony błąd w ocenie irackiego zagrożenia. Wyniki tych niezbyt drobiazgowych śledztw z jednej strony wskazywały na niską kompetencję obu wywiadów w tej konkretnie sprawie, ale z drugiej także i na to, że politycy wywierali naciski na wywiad, aby ten dostarczył analiz potwierdzających pragnienie polityków dążących do wojny (*vide* samobójstwo brytyjskiego eksperta Davida Kelly’ego, który ujawnił to, co brytyjskie media nazwały „*spinning the war*”)<sup>4</sup>. Ogłoszone na początku 2004 roku w Waszyngtonie niezależne raporty dobitnie wykazały, że sytuacja w Iraku nie wymagała natychmiastowej inwazji bez międzynarodowego poparcia. W najbardziej dla administracji Busha surowym raporcie Carnegie Endowment zapytano, dlaczego trzy powszechnie uważane za najlepsze na świecie wywiady – amerykański, brytyjski i izraelski – „były tak tragicznie niezdolne do zapewnienia rzetelnej informacji na temat Iraku”. Raport oskarżał także administrację o świadome wyolbrzymienie zagrożenia i tłumienie opinii innych niż te, które służyły uzasadnieniu ataku<sup>5</sup>. Okazywało się przy tym, że Waszyngton i Londyn także w tym przypadku (jak w przypadku inspekcji

<sup>2</sup> Jak doniosła 9 stycznia 2004 r. „International Herald Tribune” (dalej: „IHT”), „Administracja Busha podjęła cichą decyzję o wycofaniu 400-osobowego zespołu poszukującego na terenie Iraku broni chemicznej i biologicznej. Oznacza to, iż USA nie oczekują już odnalezienia broni, którą Biały Dom podawał jako główną przyczynę rozpoczęcia wojny w marcu 2003”.

<sup>3</sup> P. Krugman, *The Bush administration’s weapons of mass deceit*, „IHT” z 30 kwietnia 2003 r.; Raport w „The Economist” z 4 października 2003 r., zatytułowany *Wielders of mass deception?* Zob. także materiały „The Economist” na ten sam temat z 31 maja i 7 czerwca 2003 r.; J. Bitner, T. Kleine-Brockhoff, *Zmyślona wojna*, „Forum” z 17 listopada (przedruk za „Die Zeit” z 30 października 2003 r.).

<sup>4</sup> „The Economist” z 5 lipca 2003 r.

<sup>5</sup> *How was the U.S. so misled?*, komentarz w „IHT” z 12 stycznia 2004 r.

ONZ) oczekiwały raczej **pretekstu do wojny, która była przesądzona wcześniej, bez względu na materialną prawdę**. Znany publicysta Paul Krugman zastanawiał się, dlaczego nikt nie został pociągnięty do odpowiedzialności za wprowadzenie Ameryki w błąd i wojnę z Irakiem, lecz przecież tutaj nie było błędu, a jedynie świadoma mistyfikacja na użytek publiczny (sprawujący władzę musieliby sami się ukarać, czego, jak wiadomo, żadna władza nie praktykuje)<sup>6</sup>.

Drugim powodem tej wojny były domniemane związki reżimu Saddama z terrorystami, zwłaszcza z Al-Ka'ida. Ta hipoteza, od samego początku wątpliwa, szybko została zdezakredytowana; nie znaleziono żadnych materialnych dowodów na jej potwierdzenie. Przyznał to w końcu sam Colin Powell, który w styczniu 2004 roku powiedział, że władze amerykańskie nigdy nie miały żadnych dowodów na takie związki, a to, co mówiły rok wcześniej, było elementem medialnego uzasadnienia wojny przeciwko Irakowi<sup>7</sup>. Zwolennicy tej koncepcji forsowali jednak hasło „droga do pokoju na Bliskim Wschodzie (między Palestyńczykami a Izraelczykami) wiedzie przez Bagdad”. I ono, jako z gruntu fałszywe, nie mogło się ziścić. Tak zwana „mapa drogowa” Busha od początku była skazana na niepowodzenie; nie była zrównoważona pod względem oczekiwań wobec obu stron konfliktu, ponadto tej administracji brakowało szczerego zaangażowania w rozwiązanie konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Sam George W. Bush popierał bez reszty, także w praktyce (*vide*: Afganistan, Irak), metody stosowane przez Ariela Szarona, zatem nie mógł odgrywać dotychczasowej roli – arbitra – Stanów Zjednoczonych w tym konflikcie. W samym Iraku, do czasu wojny kraju wolnym od terroryzmu, rozkwit tego zjawiska nastąpił dopiero w okresie okupacji. Terroryści z różnych krajów islamskich zaczęli przenikać do Iraku po to, by walczyć z siłami okupacyjnymi, a także dokonywać zamachów na instytucje irackie współpracujące z Anglosasami, przy okazji ginęli cywile<sup>8</sup>.

I wreszcie, był trzeci powód, nieco bardziej wyszukany, choć również będący elementem wielkiej mistyfikacji. Tym publicznie podawanym przez przedstawicieli administracji USA uzasadnieniem było obalenie reżimu Saddama po to, aby na to miejsce ustanowić w Iraku stabilną demokrację. Powodzenie tego planu miało być wstępem do rekonstrukcji politycznej na Bliskim Wschodzie właśnie przez wywołanie efektu domina. Rezultatem miałyby być demokratyzacja w krajach regionu, która – jak sądzono w Waszyngtonie – zmniejszyłaby „potencjał terrorystyczny” świata islamskiego i pozwoliłaby na bardziej stabilne ułożenie jego stosunków z Zachodem. Z dwóch wymiarów tego powodu (usunięcie reżimu dla demokracji) prawdziwy okazał się ten pierwszy. Wyjawiał go ze szczerością niedługo po obaleniu Saddama Paul Wolfowitz, wiceminister obrony USA, uważany za jednego z głównych architektów nowej polityki zagranicznej USA. W wywiadzie dla magazynu „Vanity Fair” Wolfowitz

<sup>6</sup> *The war on truth is not over yet*, „IHT” z 11 czerwca 2003 r.

<sup>7</sup> Ch. Marquis, *Powell admits U.S. had no proof of Iraq-Qaeda link*, „IHT” z 10–11 stycznia 2004 r.

<sup>8</sup> O odrodzeniu Al-Ka'idy dzięki wojnie w Iraku pisała między innymi „IHT” z 21 listopada 2003 r.

powiedział, iż ujawnienie posiadania broni masowego rażenia jako powodu ataku na Irak miało jedynie na celu „zdobycie akceptacji świata dla tej wojny”; było zaledwie pretekstem „biurokratycznym”. Prawdziwym jej celem było jednak obalenie Saddama Husajna po to, „aby umożliwić wycofanie wojsk amerykańskich z Arabii Saudyjskiej”. Ich stacjonowanie w tym kraju jest przyczyną gniewu terrorystów z Al-Ka’idy. **Wycofanie wojsk USA z Arabii Saudyjskiej i przeniesienie ich do podbitego Iraku** „otworzy drzwi do bardziej pokojowego Bliskiego Wschodu”. Wydawcy magazynu określili te słowa jako „zaskakujące wyznanie” jednego z głównych przedstawicieli „intelektualnej junty neokonserwatywnych jastrzębi” otaczających szefa Pentagonu, Rumsfelda<sup>9</sup>. Naturalnie, chodziło także o zapewnienie sobie swobodnego dostępu do źródeł ropy naftowej w kraju, którego zasoby oceniano na szóste pod względem wielkości na świecie. O tym, że Amerykanie są zdolni do inwazji na inny kraj w tym właśnie celu, przekonują ujawnione ostatnio dokumenty, zgodnie z którymi Waszyngton rozważał zbrojne zajęcie saudyjskich pól naftowych w czasie kryzysu naftowego, spowodowanego wojną październikową na Bliskim Wschodzie w 1973 roku<sup>10</sup>.

Okazało się także, że Amerykanie tak bardzo pragnęli tej wojny, iż ignorowali płynące z Bagdadu nieformalnymi kanałami jeszcze w lutym 2003 roku oferty porozumienia, zawierające także możliwość wprowadzenia amerykańskich inspekcji poszukujących zakazanych rodzajów broni osłanianych przez amerykańskie oddziały wojskowe. Zostały one odrzucone przez Waszyngton<sup>11</sup>. W pełni uzasadnione wydają się w świetle powyższego pytania, które otwarcie skierował do Busha i Blaira były francuski minister spraw zagranicznych, Hubert Vedrine. Pytania dotyczyły trzech zasadniczych kwestii, co do których toczył się spór pomiędzy Anglosasami a resztą świata: *la légitimité, la nécessité, et l'urgence de cett guerre* (uzasadnienie, konieczność i nagłość wojny)<sup>12</sup>. Zamiast odpowiedzi na te poważne pytania, przedstawiciele obu państw oraz publicyści popierający wojnę starali się dorównać Orwellowi, którego setną rocznicę urodzin obchodzono wiosną 2003 roku<sup>13</sup>. Medialna „prawda” o tej wojnie (chodzi o media amerykańskie, choć polskie im pod tym względem dorównywały) wyglądała tak samo jak znana historia żołnierza o nazwisku Jessica Lynch. Amerykańskie media podały informację o tym, jak w pierwszych dniach wojny została ranna na polu walki, a następnie odbita z barbarzyńskich rąk wroga przez „naszych dzielnych chłopców”. Jessica została na kilka dni bohaterem narodowym USA. Później okazało się jednak, że w rzeczywistości uległa ona wypadkowi w konwoju i pozostawiona

<sup>9</sup> Cyt. za „Le Monde” z 31 maja 2003 r.

<sup>10</sup> M. Yamani, *American invasion plan stirs fierce Saudi debate*, „IHT” z 9 stycznia 2004 r.

<sup>11</sup> Zob. szerzej J. Risen, *As the war loomed, Iraq offered U.S. a deal*, „IHT” z 7 listopada 2003 r.

<sup>12</sup> H. Vedrine, *Face à George W. Bush, trois propositions*, „Le Monde” z 22 maja 2003 r.

<sup>13</sup> Zob. np. G. Nunberg, *Still plenty of newspeak, but it's less Orwellian*, „IHT” z 25 czerwca 2003 r. Polskim wkładem w uczczenie tej rocznicy mogły być obchody Dnia Niepodległości (11 listopada) z udziałem premiera w bazie polskich wojsk w okupowanym przez USA Iraku lub zmiany stacjonujących tam oddziałów dokonywane przy dźwiękach *Pierwszej Brygady*.

przez swych kolegów, następnie była leczona w irackim szpitalu przez irackich lekarzy, którzy po kilku dniach powiadomili oddziały amerykańskie, aby zabrały ranną, i dopiero wtedy American Special Force powitane przyjaźnie przez personel szpitala odzyskały Jessikę. Spreparowana przez propagandę historia przypominała najlepsze dowcipy z serii „Radia Erewań”<sup>14</sup>.

Właściwszy wydaje się w tym miejscu komentarz prof. Jeffrey D. Sachsa, oceniający intencje Waszyngtonu wobec Iraku. „Ze strony USA szaleństwem było przekonanie, że rozmieszczenie ich wojsk na irackiej ziemi nie spowoduje długiego okresu przemocy i rozlewu krwi. Amerykańscy przywódcy wierzyli, że Stany Zjednoczone zostaną w Iraku uznane za wyzwoliciela. (...) Ich celem było zainstalowanie w Iraku reżimu pod przywództwem przyjaciół Pentagonu, takich jak Ahmed Chalabi. Ten reżim miał z kolei zaprosić wojska USA do pozostania w kraju na dłużej i przyznać koncesje amerykańskiemu przemysłowi naftowemu. Ale taki reżim nigdy nie będzie miał poparcia ludności i zawsze będzie obiektem wystąpień politycznych, ataków terrorystycznych, a także akcji pojedynczych samobójców. Ostatecznie zaś jego obecność doprowadzi do śmierci wielu – jak stało się w przypadku odważnych i pełnych poświęcenia pracowników ONZ – nie mówiąc już o zmarnowaniu setek miliardów dolarów”<sup>15</sup>.

To, co było oczywiste dla ekonomisty, nie było wcale jasne dla polityków i wojskowych entuzjastycznie odnoszących się do tej wojny. Obojętne były im także **zniszczenia i ofiary, jakie musiały być skutkiem tej wojny**. Nawet przekonany jej zwolennik, znany polski ekspert wojskowy gen. Stanisław Koziej, pisał w lipcu 2003 roku: „Z punktu widzenia bezpieczeństwa na tym na razie «bezpieństwowym» obszarze irackim można wyróżnić cztery typy zjawisk przemocy. Są to: przestępczość, wojna partyzancka, terroryzm i wojna domowa”<sup>16</sup>. No cóż, niezły rezultat. Można pogratulować inicjatorom tej wojny. Jak wiadomo, od takiej sytuacji już tylko krok do demokracji. Sytuacja w Iraku jednak nie skłania do żartów. Śmierć zbiera krwawe żniwo od początku tej wojny. W jej głównej fazie zginęło około 15 tys. ludzi, w tym około 4 tys. cywilów. Rodzaj stosowanej przez Amerykanów broni utrudnia liczenie ofiar. „Nie liczymy cywilnych ofiar wojny, ponieważ nasze wysiłki koncentrują się zadaniach militarnych”, mówi rzecznik Pentagonu<sup>17</sup>. Polityka terroru stosowana przez siły okupacyjne, w tym bombardowania dzielnic zamieszkanymi przez ludność cywilną, wiele cywilnych ofiar przypadkowych (częste strzelanie przez oddziały amerykańskie do współpracujących z nimi irackich policjantów) z jednej strony oraz działalność partyzantów i terrorystów z drugiej strony (liczne wybuchy samochodów pułapek,

<sup>14</sup> N.D. Kristof, *How a soldier fell into the propaganda machine*, „IHT” z 21–22 czerwca 2003 r.

<sup>15</sup> „Choć USA wydają około czterech miliardów dolarów miesięcznie na utrzymanie wojsk w Iraku, prezydent Bush wszelkimi sposobami stara się nie dopuścić do zwiększenia amerykańskiego wkładu do światowego Funduszu Zwalczenia AIDS, Gruźlicy i Malariai. Ten wkład wynosi zaledwie dwieście milionów dolarów na cały rok”, kończy prof. Sachs. J.D. Sachs, *Opuścić Bagdad*, „Rzeczpospolita” (dalej: „Rz”) z 6–7 września 2003 r.

<sup>16</sup> S. Koziej, *Iracki tygiel przemocy*, „Rz” z 25 lipca 2003 r.

<sup>17</sup> „IHT” z 11 czerwca 2003 r.; „Rz” z 30 października 2003 r.

w których każdorazowo ginie od kilkunastu do kilkudziesięciu osób) dopełniają obrazu horroru i dalszych strat (zabitych i rannych) powodowanych przez tę wojnę. W kilka miesięcy po ogłoszeniu zwycięstwa prezydent Bush musiał przyznać, iż wojna trwa nadal. W tej wojnie żadna ze stron nie przestrzega prawa wojennego, w tym humanitarne<sup>18</sup>. Stosunkowo szybko doszło w Iraku do **czeczenizacji konfliktu** – otóż panuje tam taka sytuacja: z jednej strony zamknięci w garnizonach żołnierze dokonujący pacyfikacyjnych wypadów, z drugiej uderzający często partyzanci i terroryści, a z trzeciej pozostawiona sobie ludność, która usiłuje sobie jakoś w tych warunkach dać radę. Fascynuje to prasę. Jeden z polskich dzienników donosił z radością w wielkim tytule: „Złapali i zabili synów Saddama” (zapomniało dodać, że żołnierze amerykańscy zabili także przy okazji jego 14-letniego wnuka – praktyki żywcem przejęte ze starożytnego Rzymu). To pokazuje, iż w czasie wojny zdziczenie ogarnia nie tylko żołnierzy. Głównym błędem (obok błędu podstawowego, czyli decyzji o wojnie) było rozbitcie przez interwentów instytucji i służb państwa irackiego. Rezultatem była ogólna destabilizacja, zjawiska rabunku (w tym rabunek na zlecenie irackich dzieł sztuki starożytnej), chaosu, rozkwitu przestępczości, wzrost strat wśród żołnierzy amerykańskich (tak naprawdę zaczęli ginąć po „zakończeniu” wojny), wzrost kosztów utrzymania bezpieczeństwa. W końcu sami przywódcy duchowni (głównie szyici) w Iraku zaczęli ostrzegać Amerykanów: „albo wyjdziecie sami, albo zmusimy was do tego”.

W tej sytuacji nie można było mówić o odbudowie Iraku, reformach politycznych, nie wspominając o pozyskiwaniu społeczeństwa („winning the hearts and minds”), co sprawiło, iż rząd amerykański zaczął ponawiać apele do ONZ oraz swych sojuszników o pomoc w operacji irackiej. Stanowisko USA nie zachęcało do przyścia im z pomocą, Waszyngton bowiem chciał, aby inne kraje ryzykowały życie swych żołnierzy, aby ponosiły koszty materialne i polityczne wsparcia jego polityki wobec Iraku, a zarazem nie miał ochoty nikogo dopuścić do sprawowania kontroli i wpływania na rozwój sytuacji na miejscu. Wprawdzie Rada Bezpieczeństwa uznała wojska anglosaskie, które podbiły Irak, za „władzę okupacyjną” (co miało ułatwić zaprowadzanie porządku w zajęтым Iraku zgodnie z Konwencjami Genewskimi), lecz nie była w stanie uczynić niczego, aby zachęcić państwa członkowskie czy samą organizację do udzielenia wsparcia Anglosasom. Sama ONZ musiała się wycofać z Iraku po tym, jak w sierpniowym wybuchu w Bagdadzie zginął między innymi Wysoki Komisarz NZ ds. Praw Człowieka. ONZ przedwcześnie, zanim warunki lokalne na to pozwalały, zaangażowała się w działalność na terenie Iraku, co sprawiło, iż z jednej strony przez część Irakijczyków była odbierana jako instytucja wspierająca okupację, z drugiej zaś strony organizacja nie miała żadnego wpływu na Waszyngton. Notabene jesienią 2003 roku administracja wystąpiła do Kongresu o kwotę **87,5 (!!!) mld USD na kontynuację wojny** w Iraku i Afganistanie i pieniądze te otrzymała. Krytycy polityki USA

<sup>18</sup> „I shot one guy in head, and his head exploded” – chwalił się jeden z 3600 snajperów działających w „Stryker Brigade”. Ich zadaniem było strzelanie z odległości 500 metrów do ludzi uważanych za wrogów koalicji wojskowej sprawującej władzę w Iraku. E. Schmidt, *In Iraq's shadows, G.I. snipers*, „IHT” z 2 stycznia 2004 r.

przypomnieli w tym kontekście, iż roczny, regularny budżet tak bardzo niepopularnej w Białym Domu ONZ wynosi około 1,5 mld USD. Łatwo w tej sytuacji szydzić z ONZ i odmawiać jej skuteczności, zwłaszcza gdy samemu się zalega ze składkami. Na nic też zdało się nawoływanie do rozliczenia Busha za błędy popełnione w związku z tą wojną, czy też raczej za „grzech pierworodny, czyli rozpoczęcie wojny” (Jonathan Schell), ani formułowanie propozycji składających się na dobrą „exit strategy”. Wprawdzie administracja zaczęła sobie zdawać sprawę z tego, iż rozwój sytuacji na miejscu nie potwierdzał jej wcześniejszych oczekiwań, i w jej stosunku do tej sytuacji ideologia zaczęła ustępować realizmowi, jednak mimo strat własnych i obcych Waszyngton nie zamierzał zmieniać kursu. Groziłoby to: 1) utratą twarzy, 2) utratą zysków, na które jednak liczył (po nieco późniejszym i bardziej kosztownym ustabilizowaniu sytuacji)<sup>19</sup>, 3) w razie przedwczesnego wycofania wojsk USA pogłębieniem chaosu i ostateczną dezintegracją Iraku<sup>20</sup>.

### „Jeżeli bogowie chcą kogoś zniszczyć...

...najpierw czynią go pewnym siebie”, pisze Eric Hobsbawm w swym *Wieku skrajności*. Ameryce nie grozi zniszczenie, przeciwnie – jak zachwyca się Thomas Friedman – „nie ma takiego kraju, którego ona sama nie mogłaby zniszczyć” (*smash out*)<sup>21</sup>. A jednak nie sposób oprzeć się wrażeniu, że zachowanie i mentalność dzisiejszego Waszyngtonu odpowiada bardzo dobrze drugiej części myśli Hobsbawma. A na dłuższą metę taka polityka musi szkodzić samym Stanom Zjednoczonym, o czym przekonanych jest już dzisiaj wielu amerykańskich

<sup>19</sup> Pierwsze firmy, jak Bechtel czy Halliburton, które zaangażowały się finansowo w kampanię na rzecz wojny (w ich zarządach znajdowali się uprzednio wysocy przedstawiciele administracji, Dick Cheney, C. Rice), szybko i poza procedurami przetargu publicznego otrzymały lukratywne kontrakty na terenie Iraku. „Dwie sprawy nigdy nie były głośno dyskutowane: pieniądze i ropa. Pozostawiono je operatorom działającym poza sceną publiczną i oni robią teraz na tej wojnie pieniądze. (...) Aroganckie wykluczenie ONZ, a nawet sojuszników, z jakiegokolwiek poważniejszej roli w administrowaniu i odbudowie Iraku przyczynia się do najbardziej cynicznej interpretacji amerykańskich motywów w tej wojnie”. B. Herbert, *Ask Bechtel what war is good for*, „IHT” z 22 kwietnia 2003 r.

<sup>20</sup> „Podstawowy błąd amerykańskiej polityki w Iraku nie polega na tym, że Pentagon uwierzył w bajki opowiadane przez grupy irackich emigrantów i... [po czym J. Schell wymienia długą listę błędów USA w czasie i po zakończeniu głównej fazy wojny]. Podstawowym błędem nie są ani działania sił okupacyjnych, prowadzących operacje «znajdź i zniszcz», które powodują alienację i coraz większą wrogość Irakijczyków do Stanów Zjednoczonych, ani też brutalna dyplomacja, która pozbawia Amerykę jej tradycyjnych sprzymierzeńców. Te wszystkie błędy są niewątpliwie bardzo poważne, ale jednak mają drugorzędny charakter. Największym błędem polityki amerykańskiej było rozpoczęcie tej wojny”. *Porażkę przyjąć po męsku*, „Gazeta Wyborcza” (dalej: „GW”) z 1 października 2003 r.; B. Węglarczyk, *USA do ONZ: Ratunku*, „GW” z 4 września 2003 r.; D. Jehl, *U.S. weighs how to get UN help with Iraq*, „IHT” z 29 sierpnia 2003 r.; J. Power, *Why we all need the United Nations*, „IHT” z 17 września 2003 r.; P. Krugman, *Denial and deception, Bush should be confronted on his case for war*, „IHT” z 25 czerwca 2003 r.; H.D.S. Greenway, *The right exit strategy for Bush*, „IHT” z 3 listopada 2003 r.

<sup>21</sup> *You gotta have friends*, „IHT” z 21 listopada 2003 r.



ekspertów i polityków (od B. Clintona po Z. Brzezińskiego), tak jak dzisiaj szkodzi społeczności i porządkowi międzynarodowemu. Taka polityka nie czyni także Ameryki bardziej bezpieczną. Nikt nie miał wątpliwości, pisał wybitny ekspert w tej dziedzinie, profesor Stephen Cohen, że największa potęga militarna świata łatwo zmiażdży tak słabiutkiego przeciwnika jak Irak. Jednak to, co się stało, będzie długofalowo zwiększać liczbę aktów terroru przeciwko Ameryce w różnych częściach świata oraz sprzyjać proliferacji broni masowego rażenia, a zarazem zniechęcać inne państwa do współpracy z Ameryką i organizacjami międzynarodowymi w tym zakresie. Rozwój sytuacji na świecie będzie się dokonywał ze szkodą zarówno dla bezpieczeństwa Ameryki, jak i międzynarodowego. Kontynuując tę myśl, David Roche dodawał: **gdyby tego rodzaju akcje militarne były właściwym rozwiązaniem wobec zjawiska terroryzmu, Izrael byłby już dawno bezpieczny**<sup>22</sup>. Waszyngton był zdecydowanie odporny na tego rodzaju analizy i komentarze, o czym świadczył ujawniany stopniowo plan nowej dyslokacji baz amerykańskich na świecie (zwłaszcza w Europie Środkowej i Południowej oraz w otoczeniu Bliskiego Wschodu)<sup>23</sup>.

Podstawową konsekwencją wojny przeciwko Irakowi była zmiana samej Ameryki (a właściwie pogłębienie i utwalenie zmiany, która się dokonała w Stanach Zjednoczonych poprzez nadużycie wydarzeń z 11 września 2001). Atak na Irak jest przejawem „nowej Ameryki” oraz ilustracją jej nowej polityki zagranicznej, jest ilustracją tego, co amerykańscy zwolennicy tej nowej orientacji nazywają „rewolucją” w polityce zagranicznej, czyli zerwaniem z ciągłością w polityce zagranicznej USA. Ameryka zmienia swoje miejsce w społeczności międzynarodowej oraz swój stosunek do porządku międzynarodowego. Stany Zjednoczone odrzucają przywództwo jako model ich roli w życiu międzynarodowym i otwarcie zmierzają do jej nowego sformułowania w postaci jakiejś formy hegemonii czy imperium. Na ten temat toczą się zresztą w Ameryce bardzo ciekawe dyskusje i spory. Uważa się, iż **porzucenie przywódczej roli Ameryki przejawiało się w postaci**: 1) odrzucania ważnych traktatów międzynarodowych oraz naruszania prawa międzynarodowego przez USA, 2) odchodzenia od współpracy sojuszniczej na rzecz koalicji *ad hoc*, 3) przejścia do egoizmu czy wręcz darwinizmu w zagranicznej polityce ekonomicznej, w tym zwłaszcza odejścia od pomocy rozwojowej dla najsłabiej rozwiniętych; 4) w każdej dziedzinie życia międzynarodowego odchodzenia od form współpracy wielostronnej na rzecz unilateralizmu<sup>24</sup>.

Dla wielu badaczy amerykańskich atrakcyjna wydawała się wizja Ameryki jako mocarstwa imperialistycznego na wzór XIX-wiecznej Anglii, zapewniającej *Pax Britannica*, z tą jedyną różnicą, iż *Pax Americana* będzie miał po raz pierwszy w historii globalny zasięg. Ponieważ jednak termin „imperializm” ma negatywną

<sup>22</sup> *Has the war made America safer?*; D. Roche, *Paying a high price for supremacy*, „IHT” z 23 kwietnia 2003 r.

<sup>23</sup> W. Pfaff, *More bases won't curb terrorism*, „IHT” z 2–3 sierpnia 2003 r.

<sup>24</sup> Zob. szerzej D.M. Malone, Yuen Foong Khong (red.), *Unilateralism and U.S. Foreign Policy: International Perspectives*, Boulder 2003.

konotację, **imperializm** amerykański był opatrywany takimi przymiotnikami jak „liberalny”, „ideologiczny” czy „postmodernistyczny”, a więc taki imperializm, którego sensem jest upowszechnianie na świecie, nawet jeśli przy użyciu siły, pozytywnych wartości: zasad wolnego rynku, demokracji czy praw człowieka. Nawet jeśli niektórzy amerykańscy badacze i politycy uważali, że duch republiki jest skuteczną zaporą przed rozwojem instynktu imperialnego, w salonach Waszyngtonu wyraźnie przeważała „imperialna euforia”. „Tak – pisze znany historyk Andrew Bacevich – jesteśmy imperium w tym sensie, iż świadomie dążyliśmy do stania się największą potęgą militarną, którą zamierzamy utrzymać oraz używać jej w celu stworzenia porządku międzynarodowego, który będzie nam odpowiadał i który będzie odzwierciedlał nasze interesy i wartości”. Imperializm klasyczny nie jest nam potrzebny, nie musimy podbijać obcych terytoriów (Irak byłby wyjątkiem dla wywołania efektu demonstracji przeznaczonego dla innych). Kontrolowana przez nas politycznie globalizacja ekonomiczna daje ten sam rezultat w układzie stosunków „centrum–peryferia”. „Imperializm liberalny” („nowy internacjonalizm” – Tony Blair) może zatem brzmieć dość łagodnie, lecz dla drugiej strony zbliża się w praktyce do imperializmu klasycznego<sup>25</sup>. Richard Bernstein ma rację, mówiąc: „czy nazwiecie to imperializmem, czy unilateralizmem, Ameryka wzbudza obawy w świecie”<sup>26</sup>. To w najmniejszym stopniu nie miało wpływu na myślenie i działanie „neoimperialistów” z Waszyngtonu. Ich mentalność trafnie oddawał Timothy Garton Ash: „Według idei «rumsfeldowskiej» – o ile słowo «idea» nie jest nazbyt górnolotne – potęga Ameryki jest słuszna. Dlatego, że jest to potęga Ameryki. USA są jak miasto zbudowane na wzgórzu. Ameryka jest jedynym hipermocarstwem. Świat jest jednobiegunowy. Kraina wolnych ludzi jest obiektem najazdu ze strony Międzynarodowego Terroryzmu, nowego wcielenia Międzynarodowego Komunizmu. Ma obowiązek się bronić. I cokolwiek by się dalej działo, wszystko skończy się tym, że demokracja zostanie zaprowadzona w miejscach takich jak Irak. W ten sposób świat stanie się lepszy. Jeśli sojusznicy zechcą nam w tym pomóc, to świetnie. A jeśli nie, da się to jakoś «obejść» – jak powiedział sekretarz obrony USA”<sup>27</sup>. Najwybitniejszy współczesny brytyjski filozof polityczny, John Gray, nazywa to krótko „morderczym blaskiem ideału”<sup>28</sup>. Konceptualnej przyczyny tego zjawiska upatruje się w zdominowaniu polityki zagranicznej, w tym jej militaryzacji, przez tak zwanych **neokonserwatystów**, choć zważywszy na to, jak się ich charakteryzuje, trafniej byłoby ich nazywać **neokomunistami**<sup>29</sup>. Gray pisze o nich: „Niczym jakobini pod koniec XVIII wieku i leninowscy bolszewicy z początkiem wieku XX, amerykańscy neokonserwatyści są intelektualistami-rewolucjonistami mającymi nader

<sup>25</sup> Obszerne omówienie tej dyskusji zob. w: D. Vernet, *Impérialisme postmoderne*, „Le Monde” z 25 kwietnia 2003 r.; C. Lesnes, *États-Unis: les salons de l’empire*, „Le Monde” z 12 czerwca 2003 r.

<sup>26</sup> *Call it imperialism or unilateralism, America worries the world*, „IHT” z 14 kwietnia 2003 r.

<sup>27</sup> *Z obłokiem burzy piaskowej*, „GW” z 21 marca 2003 r.

<sup>28</sup> Zob. „Forum” z 5 maja 2003 r. (przedruk za „New Statesman” z 31 marca 2003 r.).

<sup>29</sup> Zob. szerzej J. Ehrman, *Neokonserwatyzm. Intelektualiści i sprawy zagraniczne 1945–1994*, Warszawa 2000; także specjalny materiał pt. *The shadow men*, „The Economist” z 26 kwietnia 2003 r.

mgliste pojęcie o świecie, w którym żyje większa część ludzkości. (...) Ich osobliwy światopogląd to dziwaczne połączenie filozofii doktora Strangelove i doktora Billy'ego Grahama, które każe im wierzyć, że po wygraniu wojny będą w stanie przekształcić Bliski Wschód w demokrację *à la* USA. (...) takie próby pisania historii od nowa kończą się smutno". Ocena Graya współbrzmiała z wezwaniem Paula Kennedy'go, aby prezydent Bush zdystansował się od „prowadzących Amerykę na manowce neokonserwatystów”<sup>30</sup>. „There is nothing new in the world except the history you do not know”, pisał znany amerykański komentator H.D.S. Greenway<sup>31</sup>.

Podstawowy problem, obok wielorakich konsekwencji i kosztów, jaki wiązał się ze świadomym destabilizowaniem i demontażem przez Amerykę obecnego porządku międzynarodowego, wynikał z tego, że Waszyngton nie przedstawiał żadnej alternatywnej wizji ładu międzynarodowego. Jedyne, co było wiadome, to hegemoniczna rola Stanów Zjednoczonych w tym „nowym wspaniałym świecie”. ONZ jest w ich mniemaniu – mówi o zarządzających polityką zagraniczną USA neokonserwatystach Sandy Berger, doradca prezydenta Clintona ds. bezpieczeństwa narodowego – zupełnie nieistotna, może upaść. „Jedyne, co się dla nich liczy, to swoboda działania USA”<sup>32</sup>. Kolejny problem to oczywiście opór, jaki dla wielu jest nieuchronny. Hegemonia, nawet jeśli stanie się faktem, będzie pobudzać, jak zawsze w historii, do działania kontestatorów. Przejawów kontestacji będzie wiele, od prób tworzenia nawet niekiedy egzotycznych i koniunkturalnych koalicji równoważących (np. Europa Zachodnia, Rosja, Chiny), przez niekontrolowane zbrojenia państw obawiających się amerykańskiej agresji, aż po terrorystów samobójców używających (obok własnego życia) inteligencji z braku dostępu, jak pisze prof. Kennedy, do F-16. Zatem **globalna hegemonia to ryzyko czy raczej pewność dalszej niestabilności**. Zwracał na to uwagę jeden z najbardziej respektowanych amerykańskich publicystów, William Pfaff<sup>33</sup>. Wysocy przedstawiciele administracji Busha usiłowali wprawdzie zaprezentować bodaj rudymenty jakiegoś pozytywnego programu. Raziły one jednak swoją naiwnością (bądź liczeniem na naiwność publiczności) bądź były skutecznie dezawuowane przez praktykę polityki zagranicznej USA. Modelowym przykładem takiego wręcz infantylnego myślenia życzeniowego było wystąpienie Condoleezy Rice w londyńskim The International Institute for Strategic Studies 26 czerwca 2003 r. Całe wystąpienie było poświęcone potrzebie jedności Europy wokół Stanów Zjednoczonych i ich koncepcji szerzenia wolności i demokracji w świecie. Przesłanie doradcy prezydenta USA ds. bezpieczeństwa narodowego było proste: świat wielobiegunowy należy do przeszłości. Sama idea takiego świata jest szkodliwa. Trzeba to odrzucić. Zamiast tego należy skupić się wokół wspólnych celów

<sup>30</sup> P. Kennedy, *Poza kulturą westernu*, „Rz” z 17 lipca 2003 r.

<sup>31</sup> „IHT” z 7 lipca 2003 r.

<sup>32</sup> *W poszukiwaniu sojuszników*, rozmowa z Samuelem R. Bergerem (rozmawiał B. Wildstein), „Rz” z 10–11 maja 2003 r.

<sup>33</sup> *Global domination carries grave risks; Bush's new global order will generate resistance*, „IHT” z 12–13 i 17 kwietnia 2003 r.

i wartości i „skierować energię na stworzenie tego, co prezydent Bush nazwał «układem sił na rzecz wolności» – w ramach którego będziemy bronić wolności przeciwko jej wrogom i popierać tych we wszystkich częściach globu, którzy chcą budować wolność w ich własnych społeczeństwach”. Pani Rice nie przedstawiła żadnych konkretów, nie odniosła się do żadnych problemów stosunków międzynarodowych. Ograniczyła się do wezwania do swoistej „jedności moralno-politycznej” świata zachodniego wokół USA i prezydenta Busha. Notabene, sam zwrot „układ sił na rzecz wolności” jest kalką myślową z sowieckiej doktryny polityki zagranicznej, w której też mówiło się o potrzebie „zmiany układu sił na korzyść pokoju i postępu”. Tego rodzaju myślenie jest ahistoryczne i dość osobliwe: pluralistyczna i demokratyczna Ameryka chce budować homogeniczny świat na obraz i podobieństwo swoje. Wskazuje na to cytowany wyżej W. Pfaff, który komentuje tego rodzaju myślenie jako „uproszczoną, sentymentalną i zasadniczo błędną *version of the traditional American story*”. Zasadniczą przeszkodą w zwycięstwie tej wizji świata, której wehikułem jest aktualnie wojna z terroryzmem, jest jego zdaniem to, iż „wielobiegunowy i zrównoważony system międzynarodowy, składający się z kilku ośrodków siły, bardziej sprzyja interesom narodowym wszystkich jego uczestników niż taki system, w którym jest jeden lider, a władza hegemoniczna lub scentralizowana; ten drugi system jest nieodłącznie opresywny i niesprawny oraz generuje opór i rozgardiasz”<sup>34</sup>. Podobny, choć nieco bardziej konkretny charakter miało inne programowe wystąpienie ważnego członka administracji G.W. Busha, Colina Powella, uważanego za przedstawiciela jej zdroworozsądkowego i merytorycznego odłamu. Już tytuł wystąpienia, *Partnership and Principle*, jest odwrotnością praktyki amerykańskiej polityki zagranicznej w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy. Owszem, twierdzi Powell, mamy również inne cele niż walka z terroryzmem, jednak „jedynie tylko wtedy, gdy głęboki pokój naszej ery będzie – używając słów prezydenta – «zachowany, broniiony, i rozszerzony», będziemy mogli zajmować się tymi innymi celami (...)”. **Walka z terroryzmem jest „przeznaczeniem Ameryki”**, twierdzi sekretarz stanu USA, Colin Powell<sup>35</sup>. Niska wiarygodność tego rodzaju oświadczeń brała się, zdaniem obserwatorów, stąd, iż USA mają ma swoim koncie w ciągu ostatnich 2–3 lat długą listę naruszeń norm prawa międzynarodowego oraz wyjścia bądź odrzucenia ważnych wielostronnych traktatów międzynarodowych – od kontroli i ograniczania wyścigu zbrojeń przez ochronę środowiska naturalnego po prawa człowieka. Przy czym stosunek administracji Busha do mechanizmów międzynarodowych był tego rodzaju, iż o ile USA miały być wyłączone spod ich obowiązywania, o tyle innym krajom należało narzucać znacznie surowsze od już istniejących regulacje i ograniczenia. Dobrym przykładem jest tu *Proliferation Security Initiative* (PSI), której mechanizm ma być bardziej intruzywny i przymuszający niż w przypadku reżimu Traktatu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej (NPT), a skądinąd wiadomo, iż Stany Zjednoczone nie przestrzegają nawet postanowień NPT. Wskazuje się przy

<sup>34</sup> W. Pfaff, *White House message: refusing to treat allies as equals*, „IHT” z 7 lipca 2003 r.

<sup>35</sup> C.L. Powell, *A Strategy of Partnership*, „Foreign Affairs”, styczeń–luty 2004.

tym, iż obsesja USA na tle broni masowego rażenia, którą Amerykanie chcą tropić w każdym zakątku świata (i ewentualnie stosować *pre-emption*), polega na błędzie utożsamiania samego faktu posiadania broni przez jakieś państwo z zagrożeniem, które miałyby się z tym wiązać. Od posiadania do użycia daleka droga, a prewencja i odstraszenie mogą być równie skuteczne jak dotąd<sup>36</sup>.

Na głęboką hipokryzję obecnego Waszyngtonu komentatorzy międzynarodowi wskazywali w kontekście wojny domowej i kryzysu humanitarnego w Liberii, kraju znajdującym się od chwili jego ustanowienia pod specjalną opieką USA. Mimo powszechnych nawoływań, aby USA zaangażowały się w opanowanie dramatycznej sytuacji w Liberii, Waszyngton pozostał nieczuły zarówno na przekaz telewizyjny, jak i konkretne apele o wysłanie wojsk; jedyne oddziały amerykańskie, jakie zostały tam wysłane, miały za zadanie chronić amerykańską ambasadę. Ameryka nie interweniowała, ponieważ w tym biednym i zrujnowanym kraju nie ma żadnych interesów<sup>37</sup>. W tych samych kategoriach za szokujące uznano próby ukarania przez Waszyngton poprzez różne rodzaje sankcji (głośne zapowiedzi Powella i Rice) Francji i Niemiec za to, że sprzeciwiały się napaści zbrojnej na Irak, a więc stały na gruncie prawa międzynarodowego i respektowania uprawnień Rady Bezpieczeństwa<sup>38</sup>.

Gdy opadł kurz gorącej fazy wojny przeciwko Irakowi, eksperci i publicyści zaczęli podawać w wątpliwość zasadność trwającej i starannie podtrzymywanej przez administrację Busha od zamachów z 11 września histerii na tle zagrożenia terrorystycznego. Nawet publicyści zagrzewający wcześniej do boju przeciwko terrorystom zaczęli twierdzić, iż medialne straszenie Amerykanów i świata terroryzmem osiągnęło wielkość gigantycznej mydlanej bańki („the terrorism bubble”). Sami zdawali się przerażeni tym, iż po osiągnięciu pożądanego przez Waszyngton celu, obaleniu Saddama pod pozorem walki z terroryzmem, administracja nadal wykorzystuje zagrożenie terroryzmem dla realizacji swych kolejnych celów, a zwłaszcza zwycięstwa w nadchodzących wyborach prezydenckich. Zaczęto się poważnie obawiać, iż „brudna eksploatacja” wydarzeń z 11 września i nadużycia w związku z tym popełnione obróć się w końcu przeciwko Ameryce. Dotyczyło to zarówno konsekwencji dla sytuacji wewnętrznej w Stanach Zjednoczonych (podobieństwa do maccartyzmu z lat pięćdziesiątych na tle strachu przed komunizmem), jak i właściwego przeciwdziałania prawdziwemu, a nie wydumanemu zagrożeniu. Ogromny wzrost wydatków na zbrojenia, które miały zapewnić Ameryce militarną wszechobecność, pozostawał w luźnym związku z ustaleniami powołanego przez Kongres specjalnego panelu ds. błędów i uchybień popełnionych przez agencje i służby federalne odpowiedzialne za bezpieczeństwo kraju. Panel stwierdził m.in., iż CIA i FBI zignorowały ogromną ilość informacji, które, należycie wykorzystane, pozwoliłyby na uniknięcie katastrofy

<sup>36</sup> R.A. Levine, *Preemption didn't win*, „IHT” z 22 kwietnia 2003 r.

<sup>37</sup> N.D. Kristof, *Why Liberia matters*, „IHT” z 30 lipca 2003 r.

<sup>38</sup> R.A. Levine, *The perils of punishment*, „IHT” z 23 lipca 2003 r.

z 11 września<sup>39</sup>. Konsekwencją antyterrorystycznego klimatu w polityce USA jest także zmiana w stylu jej kontaktowania się ze światem, jej „body language”. Bystrzy obserwatorzy zwrócili na to uwagę w związku ze zmianą wyglądu amerykańskich placówek za granicą. O ile w czasach zimnej wojny były one lekkie i przestrzenne („zapraszające”), o tyle „**forteca Ameryka**” jest obecnie na świecie reprezentowana przez fortece – ambasady i inne przedstawicielstwa, otoczone wysokimi murami i zwojami drutu kolczastego („nieprzystępne i odpychające jak Fort Knox” wedle słów T. Friedmana). Pod wpływem takich obrazów zmienia się klimat otaczający Amerykę. Ameryka zaczyna być nie tylko postrzegana jako mocarstwo dążące do hegemonii przy użyciu siły, lecz również jako mocarstwo coraz bardziej zapatrzone w siebie, izolujące się od świata, nieprzyjazne innym społeczeństwom i kulturom. Ludzie w różnych miejscach globu zaczynają się wyraźnie obawiać Ameryki i Amerykanów. Całe kraje zaczynają się obawiać, że mogą paść ofiarą amerykańskiej agresji. Jak pokazały to różne sondaże przeprowadzone w 2003 roku (od Pew Research Center po Komisję Europejską), opinia publiczna w wielu krajach uważa Stany Zjednoczone za główne zagrożenie dla pokoju. Wynik dość szokujący dla samych Amerykanów, lecz nie zaskakujący, jeśli wziąć pod uwagę ich politykę, która w najmniejszym stopniu nie bierze pod uwagę stanowiska ich sojuszników, innych państw, a nawet głosów rozsądku w ich własnym kraju. Najbardziej spektakularnym wyrazem braku zaufania do polityki zagranicznej prezydenta Busha był przebieg wielotysięcznych demonstracji towarzyszących jego wizycie w Wielkiej Brytanii (listopad 2003 r.). Jej ponurym symbolem był fakt, iż wielokrotnie więcej osób brało w Londynie udział w obalaniu „pomnika Busha”, niż cieszyło się w Bagdadzie z obalenia pomnika Saddama w kwietniu 2003 r.<sup>40</sup>

Rewolucja w polityce zagranicznej oddziaływała zwrotnie na sytuację wewnętrzną w Ameryce. Budziło to niepokój polityków i obserwatorów. Narastał krytycyzm wobec odejścia przez administrację Busha od republikańskiej i wolnościowej tradycji tego kraju. Wpływowy senator Edward Kennedy nazwał wojnę z Irakiem jednym z największych błędów w ponaddwustuletnich dziejach polityki zagranicznej USA; wojna wystawiła, jego zdaniem, na szwank „state of our union”, prowojenny tercet (Rumsfeld, Cheney, Wolfowitz) stojący za prezydentem Bushem nazwał zaś „**osią wojny**”. W swej pierwszej od czasów zakończenia kadencji krytyce administracji były prezydent B. Clinton mówił: „zamiast jednoczenia świata, odpychamy go od siebie, zamiast jednoczenia Ameryki, podzieliliśmy ją, spychając daleko na prawo”. W każdej dziedzinie: deficyt budżetowy,

<sup>39</sup> M.in.: D. Johnston, *Sept. 11 panel cites agencies' failures*, „IHT” z 25 lipca 2003 r.; T. Friedman, *Stop overacting to Sept. 11*, „IHT” z 21 kwietnia 2003 r.; P. Krugman, *The ugly exploitation of Sept. 11*, „IHT” z 13–14 września 2003 r.; H.D.S. Greenway, *The U.S. may regret its antiterror excesses*, „IHT” z 21 października 2003 r.; J. Power, *Keeping terrorism in perspective*, „IHT” z 27 listopada 2003 r.

<sup>40</sup> M.J. Lewis, *Walled-in embassies reflect a new America*, „IHT” z 31 lipca 2003 r.; T. Friedman, *Why the rest of the world hates America*, „IHT” z 2 czerwca 2003 r.; L. Alvarez, *Huge crowd in Trafalgar Square cheers downfall of Bush statue*, „IHT” z 21 listopada 2003 r.

bezrobocie, ubóstwo, ochrona zdrowia, nastąpił ogromny regres. „Tego kraju, mówił były wiceprezydent Al Gore, nie stać na kolejne cztery lata tej administracji. Nie stać nas na dalsze podziały między nami”. W szczególności obawiano się, iż **kontynuacja zastraszania amerykańskiego społeczeństwa**, ograniczanie wolności mediów (pod zarzutem braku patriotyzmu), łamanie prawa na zewnątrz, odmawianie wszelkich praw znajdującym się pod jurysdykcją USA jeńcom z Afganistanu czy Iraku, będzie nieuchronnie oznaczać demontaż demokracji i zakresu nienaruszalnych dotąd swobód obywatelskich. W związku ze sprawą więźniów w Guantanamo znana działaczka i autorka prac z dziedziny praw człowieka, Deborah Pearlstein, sformułowała pogląd o zagrożeniu dla jednego z najbardziej podstawowych ideałów Ameryki – zasady praworządności. Doszło przecież do tego, że świątli Amerykanie zaczęli oglądać BBC, aby dowiedzieć się o wydarzeniach w Iraku czy o polityce USA. Coraz poważniejsze obawy zaczynało też budzić zjawisko prywatyzacji polityki zagranicznej USA, podejmowanie istotnych decyzji w bardzo wąskim gronie, nie tylko bez udziału Kongresu, ale nawet Departamentu Stanu. Zaczęto wręcz pisać o zamachu stanu przeciwko Departamentowi Stanu. Znany ekspert w dziedzinie praw człowieka, pracujący od lat dla ONZ, Alfred de Zayas pisał: „Jako zarejestrowany republikanin, który głosował na prezydenta Busha w 2001 roku, wyrażam mój głęboki sprzeciw wobec *the military junta-like policies* prowadzonych przez administrację od 11 września”. Ameryka stawała się „narodem odrębnym” (*a nation apart*), wierzącym w swoją wyjątkowość, rządzącym się odrębnymi prawami wewnątrz i stosującym swe specyficzne prawa wobec świata – pisano w specjalnym raporcie „The Economist”. Krajem, w którym polityka i którego polityka stawała się „prowadzeniem walki” (*warfare*), zaś najbardziej wyjątkowy był sam prezydent Bush, który zdawał się produktem znanego doktora z równie znanej opowieści („Doctor Jekyll and Mr Bush”) – konkludowano w raporcie „The Economist” z 8 listopada 2003 roku<sup>41</sup>. Społeczeństwo amerykańskie było do tego stopnia zmęczone i zdezorientowane wojenną retoryką administracji, że nie wykazało entuzjazmu dla ogłoszonego w styczniu 2004 roku przez prezydenta Busha superambitnego planu podboju kosmosu (wznowienie załogowych lotów na księżyc i lot na Marsa po 2020 roku). Eksperci natychmiast zresztą zwrócili uwagę, iż główne cele planu są przede wszystkim polityczno-militarnej natury, w mniejszym stopniu nastawione są na naukową eksplorację przestrzeni kosmicznej.

W świetle powyższego nie można się dziwić, iż zarówno ogólna koncepcja polityki, wizja świata, jak i konkretne posunięcia w dziedzinie bezpieczeństwa i polityki zagranicznej administracji Busha znalazły się pod wyjątkowym ogniem krytyki poważnych polityków i uznanych ekspertów na świecie oraz w rosnącym

<sup>41</sup> P. Krugman, *Why Americans watch BBC*, „IHT” z 14 maja 2003 r.; W. Pfaff, *Scaring America to half death*, „IHT” z 8 maja 2003 r.; M. Dowd, *Hawks plan a coup at Department d’Etat*, „IHT” z 7 sierpnia 2003 r.; Ch. Levandosky, *Dismantling U.S. democracy*, „IHT” z 3 grudnia 2003 r.; „IHT” z 15 września, 10 i 19 grudnia 2003 r. oraz 15 stycznia 2004 r.; „The Economist” z 8 listopada 2003 r.

stopniu w samych Stanach Zjednoczonych; na przełomie roku amerykańscy politycy, eksperci i komentatorzy zaczęli się wydobywać spod propagandowo-psychologicznej presji i wcześniejszego „zniewolenia umysłów”. W całym tym okresie po 11 września tylko nieliczni się temu nie poddali. Niezależnie od tego, co zostało już wyżej przedstawione, listę krytyk i krytyków polityki administracji Busha można rozpocząć od wybitnego filozofa politycznego i znawcy życia międzynarodowego Pierre’a Hassnera. Jego zdaniem obecny Waszyngton zmierza do wprowadzenia **globalnego „permanentnego stanu wyjątkowego”**. Chodzi o stan wyjątkowy, który staje się normą, o zniesienie różnic między wojną a pokojem, tym, co wewnętrzne, a tym, co zewnętrzne, między normą a wyjątkiem. Hassner wyraża nadzieję, iż „«wielkie kłamstwo», którym posługuje się ta administracja, zostanie jednak odrzucone przez nadal otwarte i pluralistyczne społeczeństwo amerykańskie”<sup>42</sup>. W związku z praktycznym zastosowaniem doktryny „wojny uprzedzającej” noblista z 1999 roku, Günter Grass, pisał o moralnym upadku supermocarstwa oraz ograniczaniu demokracji i prowadzeniu Ameryki ku katastrofie przez prezydenta Busha<sup>43</sup>. George Soros nie wahał się nazywać ideologii znajdujących się u władzy neokonserwatystów „prymitywnym darwinizmem społecznym”, ich samych wrogami społeczeństwa otwartego, a założenia amerykańskiej strategii bezpieczeństwa narodowego ideologią *Folwarku zwierzęcego* Orwella<sup>44</sup>. Norman Mailer pisał w swych ostrych esejach o socjo-psycho-ekonomicznym podłożu tej wojny, poprzez którą administracja postanowiła „odmłodzić amerykańską psychę”, niezbędną dla imperialnego podboju świata. Mailer twierdził, że tak naprawdę za tą wojną stały interesy wielkich korporacji i duch chciwości tych, którzy już wcześniej sfalszowali wybory prezydenckie na Florydzie. Ich specjalnością stało się sianie zamętu na wiele sposobów. Ich interesy wymagają globalnego imperium. W sukurs „wojującemu chrześcijaństwu” przyszli „misjonarze”, czyli neokonserwatyści i zdezorientowani liberałowie. Mailer obawia się, iż produktem ubocznym tego procesu mogą być tendencje faszystowskie zarówno w USA, jak i za granicą. Wcześniej „eksportowaliśmy przenikającą wszystko pustkę estetyczną najpotężniejszych amerykańskich korporacji”. Teraz, jeśli ta tendencja zwycięży, powinniśmy się „przygotować do podłego życia w monumentalnej republice bananowej, której rząd zawsze będzie gotów wysługiwać się megakorporacjom zarożumiałe zawłaszczającym nasze marzenia”<sup>45</sup>. Do bezkompromisowych krytyków polityki tej administracji należał, uchodzący przecież za jastrzębia, Zbigniew Brzeziński. Brzeziński przenikliwie wskazywał na deformacje wizji świata prezentowanej przez administrację Busha, jej pychę i arogancję, na szkodliwość jej polityki izolującej ją od reszty świata, w tym zwłaszcza tradycyjnych sojuszników. Tylko porzucając paranoidalną politykę destabilizującą porządek międzynarodowy, Ameryka może przewodzić światu, twierdzi Brzeziński. Za prawdziwe motywy

<sup>42</sup> P. Hassner, *Vers l'état d'exception permanent?*, „Le Monde” z 24 maja 2003 r.

<sup>43</sup> G. Grass, *The moral decline of a superpower*, „IHT” z 11 kwietnia 2003 r.

<sup>44</sup> G. Soros, *Zanim nastąpi wielki krach*, „GW” z 6–7 grudnia 2003 r.

<sup>45</sup> N. Mailer, *Dlaczego jesteśmy w Iraku*, „GW” z 19–21 kwietnia 2003 r. oraz idem, *The White Man Unburdened*, „The New York Review of Books” z 17 lipca 2003 r.



wojny przeciwko Irakowi uważał „kombinację głupoty i fanatyzmu”, czyli fanatyczną głupotę. Uważał także, iż „fanatyczna i wyjątkowo głupia prawica religijna w Ameryce” bredząca o jakiejś „ogólnoświatowej wojnie z terroryzmem” zastrasza ludzi, izoluje Amerykę, utrudnia rozwiązywanie problemów<sup>46</sup>. Madeleine Albright, jako sekretarz stanu w administracji znana ze swej stanowczości, pisała o „złej wojnie” (*wrong war*) przeciwko Irakowi, a James Rubin, jej rzecznik w tamtym czasie, o wszystkich możliwych błędach politycznych i dyplomatycznych, jakie zostały przez Waszyngton popełnione w związku z tą wojną<sup>47</sup>. „Świadomą ignorancją” nazywał Paul Krugman spojrzenie tej administracji na źródła terroryzmu. „Ignorancja Busha wynika z jego braku ciekawości”, a prezydent sam przyznaje, że „znalazł się w Białym Domu dzięki potędze modlitwy” (!)<sup>48</sup>. Na egoizm jako główną pobudkę kierującą Waszyngtonem w doprowadzaniu do obalenia Saddama wskazuje polski publicysta Łukasz Warzecha, a jego zdaniem utrudnia to powoływanie się na szlachetne intencje tym, którzy pomogli Bushowi w owym dziele<sup>49</sup>.

**Nieoczekiwanie, zamiast rozwiązywać problemy świata, Ameryka stała się dla świata problemem.** Wyjściem z tej sytuacji nie jest ani oczekiwanie, ani stawianie na „schyłek Ameryki”. Wbrew temu, co wieszczy w swojej ostatniej książce Emmanuel Todd, do rozkładu Ameryki jest jeszcze daleko<sup>50</sup>. Nie leży on ani w interesie Zachodu, ani też zresztą całej społeczności międzynarodowej. Problemem nie jest Ameryka, problemem jest taka właśnie Ameryka. Trzeba wierzyć w zdrowy rozsądek i instynkt moralny jej obywateli, który jest dzisiaj po stronie międzynarodowej opinii publicznej krytycznej wobec postępowania tej administracji. W listopadzie 2004 roku odbędą się tam wybory, które mogą zmienić Amerykę i przywrócić ją światu<sup>51</sup>. Dzisiaj nawet republikanie zaczynają rozumieć, że George W. Bush ich oszukał. Clyde Prestowitz, szef jednego ze znanych *think tanków*, zapytany dlaczego, skoro jest republikaninem, chce odwołania Busha, odpowiedział krótko: „**ponieważ najpierw jestem Amerykaninem**” (BBC, Hardtalk, 13 stycznia 2004 r.). W swej najnowszej książce *The*

<sup>46</sup> *Przez głupotę i fanatyzm, wywiad ze Zbigniewem Brzezińskim* (rozmawia Artur Domosławski), „GW” z 8 października 2003 r.; idem, *To lead, U.S. must give up paranoid policies*, „IHT” z 15–16 listopada 2003 r.; idem, *Kto jest z nami (amerykańska strategia w czasach terroru)*, „Rz” z 22–23 listopada 2003 r.

<sup>47</sup> M.K. Albright, *Bridges, Bombs, or Bluster?*, „Foreign Affairs”, wrzesień–październik 2003; J.P. Rubin, *Stumbling Into War*, ibidem.

<sup>48</sup> P. Krugman, *A willful ignorance about the sources of terrorism*, „IHT” z 29 października 2003 r.

<sup>49</sup> Ł. Warzecha, *Trzy łyżki dziegciu*, „Rz” z 24 czerwca 2003 r.

<sup>50</sup> E. Todd, *Schyłek imperium. Rozważania o rozkładzie systemu amerykańskiego*, Warszawa 2003.

<sup>51</sup> Warto jednak pamiętać o głosach, które mówią, iż ewentualne zwycięstwo demokratów w wyborach prezydenckich 2004 r. niekoniecznie sprawi, że zniknie „Aggressive America”. Jeden ze znanych ekspertów skierował pod adresem sojuszników Ameryki ostrzeżenie: „The American commitment to influence international security framework proactively and aggressively is here to stay” (jeśli tylko przywódcy USA będą odczuwać zagrożenie dla bezpieczeństwa ich kraju, zrobią wszystko, aby przeciwstawić się takim zagrożeniom). A.I. Isenberg, *Détente? Don't wait for Democrat*, „IHT” z 11 czerwca 2003 r.

*Choice* pisze, iż Ameryka stoi przed klarownym wyborem: przewodzić światu z nim współpracując albo wbrew światu próbować mu narzucić swoją hegemonię.

### W kierunku globalnej anomii

Nie ulega wątpliwości, iż kierunkiem ewolucji porządku międzynarodowego w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy była globalna anomia. Nie jest to jeszcze stan anomii, lecz sytuacja, ku której zmierzał świat, choć kierunek tej ewolucji jest wciąż odwracalny. Mowa oczywiście o całokształcie porządku międzynarodowego, w jego poszczególnych segmentach oraz na poziomie stosunków międzynarodowych nadal bowiem obowiązuje prawo międzynarodowe i kontakty między państwami i społeczeństwami rozwijają się tak samo jak do tej pory. Na poziomie globalnym przewagę wykazują jednak tendencje dezintegracyjne, które dają o sobie znać w postaci odchodzenia od wspólnych dla całej społeczności międzynarodowej norm i wartości podstawowych. Pozimnowojenny okres przejściowy, swoiste interludium, nie zakończył się wejściem w nowy porządek międzynarodowy, lecz pogłębieniem tego, co badacze anglosascy nazywają niezbyt szczęśliwie chaosem czy anarchią w życiu międzynarodowym. Być może zresztą słowo „anarchia” znajduje w tym miejscu lepsze niż kiedykolwiek po drugiej wojnie światowej uzasadnienie. Być może zresztą, jak wielu na to wskazuje, jest to anarchia poprzedzająca powstanie nowego ładu – monocentrycznego porządku międzynarodowego.

„Wydarzenia ostatniego roku ujawniły głębokie podziały pomiędzy członkami Narodów Zjednoczonych w odniesieniu do fundamentalnych spraw polityki i zasad. Jak możemy się skutecznie chronić przed międzynarodowym terroryzmem i zatrzymać proces rozprzestrzeniania się broni masowego zniszczenia? Kiedy użycie siły jest dopuszczalne i kto powinien o tym decydować? Czy każdy kraj ma to robić sam za siebie, czy będziemy bezpieczniejsi, działając razem? **Czy «wojna prewencyjna» jest czasem usprawiedliwiona, czy jest zwyczajnie agresją pod inną nazwą?** A w świecie, który staje się «jednobiegunowy», jaka będzie rola Narodów Zjednoczonych?”, pytał zaniepokojony sekretarz generalny NZ, Kofi Annan. „Niektórzy argumentują, że państwa mają prawo i obowiązek uprzedzającego użycia siły, nawet na terytorium innych państw i nawet jeśli rodzaje broni, które mogłyby być przeciw nim użyte, jeszcze nie są zupełnie rozwinięte. Zgodnie z tym argumentem, państwa nie muszą czekać na zgodę Rady Bezpieczeństwa, mogą działać jednostronnie. Taka logika stanowi zasadnicze wyzwanie dla zasad, na których opierały się, choć w stopniu niedoskonałym, światowy porządek i stabilność w ciągu ostatnich pięćdziesięciu ośmiu lat. **Moja obawa polega na tym, iż jeśli to się przyjmie, będzie to precedensem generującym proliferację jednostronnego i bezprawnego oraz nieusprawiedliwionego i bezprawnego użycia siły**”, mówił 23 września 2003 r. przed Zgromadzeniem Ogólnym Organizacji jej sekretarz generalny<sup>52</sup>.

<sup>52</sup> K.A. Annan, *Defining a new role for the United Nations*, „IHT” z 4 grudnia 2004 r.; *The Secretary-General Address to the General Assembly*, Nowy Jork, 23 września 2003 r.

Angloamerykański atak zbrojny na Irak w marcu 2003 roku był drastycznym naruszeniem Karty Narodów Zjednoczonych i zasad prawa międzynarodowego w odniesieniu do tego, co ma zawsze fundamentalne znaczenie w każdym porządku międzynarodowym, czyli do sprawy wojny i pokoju. To dlatego napięcia międzynarodowe na tym tle były tak głębokie, i to dlatego konsekwencje wojny z Irakiem będą bardziej długofalowe. Oto bowiem wielkie mocarstwa, stali członkowie Rady Bezpieczeństwa, których obowiązkiem jest strzec pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego zgodnie z Kartą Narodów Zjednoczonych, dla własnych partykularnych interesów naruszają pokój, łamią postanowienia Karty, działają sprzecznie z mandatem Rady Bezpieczeństwa NZ. Organizacja, jej członkowie, w tym członkowie Rady Bezpieczeństwa, nie byli w stanie ich powstrzymać. Przypomnijmy, zgodnie z rezolucją 1441 RB NZ z listopada 2002 roku w sprawie Iraku, sytuacja w Iraku pozostawała w gestii Rady, która ustanowiła swoją misję inspekcyjną na terenie Iraku i która miała – zgodnie z rezolucją – dokonywać przeglądu rozwoju sytuacji, w tym oceny prac misji oraz współpracy Iraku z ONZ w zakresie wykonania wcześniejszych rezolucji nakładających na ten kraj obowiązek pozbycia się broni masowego rażenia. W prezentowanych Radzie raportach Hans Blix, szef inspektorów ONZ, potwierdzał aktywną współpracę władz irackich pod tym względem. Kiedy inspekcje nie przynosiły pożądaných przez USA rezultatów, Waszyngton zdecydował się dalej nie zwlekać z atakiem na Irak. W lutym 2003 r. USA podjęły jeszcze ostatnią próbę uzyskania autoryzacji ze strony RB NZ dla interwencji zbrojnej poprzez uchwalenie nowej rezolucji<sup>53</sup>; kiedy to się nie udało, Waszyngton nie oglądając się na nikogo, z pomocą militarną Londynu i Canberry, przystąpił do wojny. Tak oto został zakwestionowany (w sposób porównywalny np. z sowiecką inwazją na Afganistan w 1979 r.) ustanowiony po wojnie w ramach ONZ system bezpieczeństwa zbiorowego. Złamane zostały normy i regulacje oraz mechanizm dotyczący użycia siły (decyzji o jej użyciu) w stosunkach międzynarodowych. Więcej, zaczęły być systematycznie naruszane normy regulujące sposób używania siły, co ma miejsce w szerszym kontekście tak zwanej wojny z terroryzmem. Jak pisał szef Human Rights Watch Kenneth Roth, „poprzez literalne rozumienie swej «wojny» z terroryzmem, administracja Busha doprowadziła do odrzucenia rozróżnienia pomiędzy tym, co jest dopuszczalne w czasie pokoju, i co może być tolerowane w czasie wojny”; w ten sposób administracja ułatwia sobie zatrzymywanie i likwidowanie podejrzanych (chodzi tu o naruszanie Konwencji Genewskich – prawa humanitarnego)<sup>54</sup>.

<sup>53</sup> O tym, jak bardzo administracji Busha zależało na pozyskaniu RB NZ dla swego postanowienia o ataku na Irak, świadczy i to, że w celu osiągnięcia większości w Radzie zdecydowano się na nielegalną działalność szpiegowską wobec placówek dyplomatycznych państw członkowskich RB NZ (m.in. Angoli, Kamerunu, Chile, Bułgarii, Gwinei i Pakistanu). Zob. B. Herbert, *Punishing conscience*, „IHT” z 20 stycznia 2004 r. Pracująca w tajnym brytyjskim Communications Headquarters urzędniczka, która to wykryła i spowodowała przeciek do prasy, została natychmiast zwolniona. Urzędniczka uczyniła to, ponieważ wiedziała, że planowana przez Amerykanów i Brytyjczyków akcja jest „moralnie błędna i nielegalna” i będzie prowadziła do śmierci niewinnych ludzi.

<sup>54</sup> K. Roth, *The Law of War in the War on Terror*, „Foreign Affairs”, styczeń–luty 2004.

Richard Perle, doradca polityczny Departamentu Obrony USA, uważa taki pogląd, jak ten wyrażony wyżej przez Kofiego Annana, za „niebezpiecznie błędny”, a „żałosnym fiaskiem” ONZ nie była dlań jej niezdolność do powstrzymania USA przed atakiem na Irak, lecz niezgoda na jego autoryzację. Akcje jak ta – USA przeciwko Irakowi – są zdaniem Perle’a „najlepszą nadzieją na ład” i „rzeczywistą alternatywą” wobec anarchii firmowanej przez ONZ<sup>55</sup>. W to miejsce obecny Waszyngton proponuje – według intuicyjnie trafnego określenia Pierre’a Hassnera – „permanentny stan wyjątkowy”. Problem w tym, iż nawet samo posłużenie się siłą z pominięciem prawa międzynarodowego i bez należytej autoryzacji (np. mandatu RB NZ) nie musiałyby koniecznie oznaczać zamachu na podstawy porządku międzynarodowego. Wszak użycie skalpela jest także nieraz potrzebne i umiejętne posłużenie się nim przez osobę nieposiadającą certyfikatu też może okazać się usprawiedliwione czy wręcz zbawcze. Liczą się intencje i cel działającego, jak również szerszy kontekst prowadzonego działania. Atak na Irak jest – jak widać w tym przypadku – częścią większej całości. Odrzucany jest multilateralizm jako niezbędna zasada stabilnej współpracy międzynarodowej. Multilateralizm rozumiany jako stanowienie i przestrzeganie norm i reguł, według których odbywa się współpraca we wszystkich dziedzinach stosunków międzynarodowych w skali globalnej i które uwzględniają interesy wszystkich uczestników społeczności międzynarodowej stosujących się do tych norm i reguł. Sytuacja, w którą wchodzimy, odznacza się próbą demontażu multilateralizmu. Wycofanie się z tego systemu jego najważniejszego i najpotężniejszego uczestnika będzie bowiem nieuchronnie prowadzić do jego załamania. Nasuwa się tu analogia do Ligi Narodów, która upadła, nie było bowiem w niej kilku głównych mocarstw, w tym takich, które kontestowały jej podstawy (np. zakaz uciekania się do wojny). Warto dodać, iż w środowisku analityków i ekspertów wspierających programowo administrację prezydenta Busha są bardzo silne głosy wzywające Waszyngton do wyjścia z ONZ (ze względu na strukturalną niemożność jej zreformowania) oraz stworzenia ewentualnie alternatywnej organizacji międzynarodowej, skupiającej wyłącznie państwa demokratyczne. Wprawdzie USA nie zamierzają na razie opuścić ONZ, lecz opuszczają kolejne ważne reżimy międzynarodowe, które bez udziału Ameryki na dłuższą metę nie będą mogły należycie funkcjonować.

Dotyczy to już Protokołu z Kioto, który ma zupełnie podstawowe znaczenie dla powstrzymywania zmiany ziemskiego klimatu. Postępujące ocieplenie klimatu już powoduje i będzie powodować coraz bardziej katastrofalne skutki dla życia na Ziemi (coraz większa liczba ludzi ma coraz mniejszy dostęp do wody, zachodzi zmniejszanie się różnorodności biologicznej). „Ziemia, piszą uznani eksperci, weszła w tak zwaną erę antropoceniową – erę geologiczną, w której ludzie są znaczącą, a niekiedy dominującą siłą ziemskiego środowiska naturalnego”<sup>56</sup>. Czynniki ludzki pełni wobec tego środowiska funkcję destrukcyjną, mimo iż od

<sup>55</sup> R. Perle, *Pożegnanie z Radą Bezpieczeństwa*, „Rz” z 15 kwietnia 2003 r.

<sup>56</sup> M. Wallström, B. Bolin, P. Crutzen, W. Steffen, *The Earth’s life-support system is in peril*, „IHT” z 20 stycznia 2004 r.

jego stanu zależy przetrwanie człowieka. W ślady USA, które odrzuciły protokół, poszła Rosja dysponująca ogromnym potencjałem niszczycielskim w tym zakresie. O zagrożeniu dla uniwersalnego charakteru praw człowieka i mechanizmów ich implementacji była już mowa. Rzecznikowi, laureatka pokojowej Nagrody Nobla (2003), irańska działaczka na rzecz praw człowieka, uznała właśnie Stany Zjednoczone i ich „wojnę z terroryzmem” za źródło naruszeń i zagrożeń dla praw człowieka. Skłonność USA i niektórych innych państw zachodnich do interwencji zbrojnych jest, jej zdaniem, sprzeczna z zasadami demokracji i samostanowienia narodów. **„Nie możecie ze szkodą i pogardą dla innych narodów myśleć egoistycznie tylko o waszym bezpieczeństwie i komforcie”**, powiedziała Shirin Ebadi, odbierając w Oslo Nagrodę Nobla<sup>57</sup>. Postępująca erozja multilateralizmu będzie mieć zdaniem wielu także szkodliwe skutki w sferze rozbrojenia i wyścigu zbrojeń. Próba rozbrojenia jednych, a zarazem jednostronnego uzbrajania się po to, aby w rezultacie zapewnić sobie absolutne bezpieczeństwo, jest niewykonalna. Będzie jedynie zmuszać innych do zapewnienia sobie jakiegoś minimum bezpieczeństwa (w obliczu interwencjonizmu ze strony mocarstw) poprzez wejście w posiadanie jakiegoś rodzaju broni masowego rażenia (odstraszenia). „Nuklearne rozbrojenie jest integralną i nieodłączną częścią reżimu NPT”, uważają znani eksperci. „Byłoby zatem rzeczą bardzo niebezpieczną zabieranie się do rozwoju i wdrażania nowej generacji broni nuklearnej, jak na przykład tak zwanych rozwalaczy bunkrów (*bunker-busters*) lub minigłowic (*mini-nukes*)”<sup>58</sup>. Tylko szczerze dążenie do całkowitego wyzbycia się broni nuklearnej przez same mocarstwa może zahamować pęd innych do wyposażenia się w nawet najbardziej prymitywną odmianę tej broni. Zresztą, jak pisze cytowany już Pierre Hassner, nie ma żadnego powodu, by sądzić, że ci inni będą posługiwać się tą bronią w sposób mniej odpowiedzialny niż na przykład Stany Zjednoczone, które jako jedyne państwo użyły broni atomowej przeciwko ludności cywilnej w celach politycznych (w sensie militarnym wynik wojny z Japonią był już przesądzony). *Novum* stanowi groźba terroryzmu nuklearnego. O ile trudno ocenić, w jakiej mierze jest ona realna, a w jakiej jest elementem „propagandy strachu”, o tyle nie brak ekspertów, którzy uważają, że polityka USA w tym zakresie raczej sprzyja pojawianiu się „przyszłych Ibn Ladinów”, niż zmniejsza ich liczbę<sup>59</sup>. Niezależnie od potencjalnego związku terroryzmu z nuklearną proliferacją problem jest realny w tym sensie, iż jak wynika ze styczniowego oświadczenia szefa ONZ-owskiej MAEA, Muhammada al-Barada’i, już około 35–40 państw znajduje się „w pobliżu” zdolności wyprodukowania broni nuklearnej, a świat staje się powoli supermarketem („Wal-Mart”), także w tej dziedzinie<sup>60</sup>.

Dalszy regres zaznaczył się również w gospodarczej dziedzinie porządku międzynarodowego. Wprawdzie gospodarka światowa zaczęła wykazywać oznaki wzrostu, lecz akceptowany przez społeczność międzynarodową (przynajmniej jej

<sup>57</sup> C.S. Smith, *Peace laureate assails West over terror war*, „IHT” z 11 grudnia 2003 r.

<sup>58</sup> L. Frevalds, G.A. Papandreu, E. Tuomioja, *Toughen the treaties*, „IHT” z 27 stycznia 2004 r.

<sup>59</sup> B. Ramberg, *Terrorism has altered the nuclear equation forever*, „IHT” z 10 grudnia 2003 r.

<sup>60</sup> M. Landler, *Trafficking in nuclear arms called widespread*, „IHT” z 24–25 stycznia 2004 r.

znaczącą większość) ład w sferze gospodarczej był jeszcze bardziej odległy niż dotąd. Świadczyło o tym fiasko spotkania ministerialnego WTO w Cancun, we wrześniu 2003 r. Niemożność rozciągnięcia liberalizacji handlu na artykuły rolne w ramach rundy negocjacyjnej Doha, wskutek oporu UE i całkowitego braku zainteresowania ze strony USA, jest powszechnie uważana nie tylko za cios dla gospodarki światowej, lecz przede wszystkim uderzenie w interesy krajów słabiej rozwiniętych, które wcześniej otworzyły swoje granice na artykuły przemysłowe i usługi pochodzące z krajów wyżej rozwiniętych. Stało się tak mimo wcześniejszych obietnic poczynienia ustępstw przez Brukselę, a zwłaszcza przez administrację Busha na początku jej kadencji, które zmierzać miały do tego, aby handel światowy służył zwalczaniu ubóstwa. Kraje wysoko rozwinięte przeznaczają jeden miliard dolarów dziennie (!) na subsydia dla swych rolników, uniemożliwiając konkurencję rolnikom z krajów biedniejszych. Obecna sytuacja jedynie pogłębia nierówności wywoływane przez procesy globalizacji gospodarczej: globalizacja nadal przyspieszając wzrost, pogłębia nierówności rozwojowe i „zostawia miliardy ludzi na poboczu drogi”. Jak twierdzi prof. Joseph Stiglitz, noblista z dziedziny ekonomii, błąd leży w jednostronnym i nadmiernym postawieniu na wzrost, a pomijaniu innych, społecznych i politycznych aspektów działalności gospodarczej w skali globalnej. Związane jest to z **deficytem demokratycznym, jeśli chodzi o podejmowanie decyzji gospodarczych na szczeblu międzynarodowym**. Reformowaniu globalizacji nie sprzyja jednak jego zdaniem unilateralistyczna polityka USA. „Stany Zjednoczone używają swej supremacji gospodarczej i militarnej dla takiego ukształtowania świata, który będzie służył ich interesom, ze szkodą dla innych państw”, uważa Stiglitz<sup>61</sup>.

Zastanawiając się nad problemem równowagi globalnego porządku międzynarodowego, były premier Nowej Zelandii Paul Keating pisał: „Winston Churchill powiedział w 1940 roku, że Wielka Brytania «walczyła samotnie, ale nie dla samej siebie». Wielu ludzi obecnie sądzi, że Stany Zjednoczone walczą dzisiaj same dla samych siebie”. Samo odrzucenie multilateralizmu i podstawowych zasad porządku międzynarodowego („Westfalii”) nie stworzy nowego ładu. Nie stworzy, ponieważ nowe zasady muszą być akceptowane przez wszystkich. Społeczność międzynarodowa, z wyjątkiem USA, uważa, że dotychczasowe zasady muszą być respektowane, ponieważ służą interesom wszystkich i całości. Jednostronna polityka USA tego stanowiska nie zmieni, a nawet je wzmocni. Raniąc i odrzucając ONZ oraz podstawy ładu, które ona utożsamia, na rzecz pragmatycznej legalizacji doświadczenia, którym jest potęga i interesy USA, nie sprzyja ona cywilizowaniu życia międzynarodowego, lecz jedynie otwiera pole nowej konfrontacji. Konfrontacji, do której Stany Zjednoczone się już szykują i wskazują jednocześnie, kto będzie ich kolejnym przeciwnikiem; wręcz starają się wywołać wilka z lasu. Chodzi naturalnie o Chiny<sup>62</sup>.

<sup>61</sup> „Le Monde” z 21 stycznia 2004 r.; E. Zedillo, *In search of a grand vision for world trade*, „IHT” z 10 września 2003 r.

<sup>62</sup> P. Keating, *When America goes it alone, we all pay*, „IHT” z 30 lipca 2003 r.; M. Glennon, *A fractured planet needs pragmatism*, „IHT” z 23 kwietnia 2003 r.

## EUROPA W ODWROCIE

Czas, który miał być chwilą sukcesu i wielkości Europy, stał się czasem jej klęski. Nadzieja na chwałę Europy kryła się w historycznym rozszerzeniu Unii Europejskiej. Rozszerzeniu o dziesięć państw, w tym osiem byłych państw komunistycznych, a w tym jeszcze trzy były republiki Związku Sowieckiego: Polskę, Czechy, Słowację, Węgry, Słowenię, Litwę, Łotwę, Estonię oraz Cypr i Malte. Takie rozszerzenie, z bliską, choć trudno orzec, czy realistyczną, perspektywą włączenia Rumunii i Bułgarii, mogło być słusznie uważane za zjednoczenie Europy, ostateczne wymazanie linii jej zimnowojennego podziału. Owo zjednoczenie znalazło swój euforyczny, lecz krótki wyraz w podpisaniu układów akcesyjnych i spotkaniu przywódców 25 państw u stóp Akropolu (prezydencja grecka) w kwietniu 2003 roku. I jeszcze raz Europa przeżyła chwilę satysfakcji, gdy Valéry Giscard d'Estaing przekazywał w imieniu Konwentu zebranej w Salonikach (20 czerwca) Radzie Europejskiej projekt Traktatu Konstytucyjnego UE. Nawet jednak te bezdyskusyjnie historyczne chwile nie były w stanie przesłonić uzasadnionego w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy wrażenia porażki Europy oraz rozłamów biorących triumfalnie górę nad impulsami zjednoczeniowymi.

### Od Rumsfelda do Millera, czyli mniej Europy

Europa zaczęła się dzielić, a co za tym idzie – mniej znaczyć na scenie międzynarodowej – na tle stosunku do przygotowań Ameryki do ataku na Irak. Stanowisko UE było od początku „sprawy irackiej” jednoznaczne: z jednej strony poparcie dla presji na Irak w celu wykonania przez ten kraj rezolucji ONZ dotyczących broni masowego rażenia, poparcie dla bardzo surowej rezolucji 1441 z 8 listopada 2003 r. opatrzonej groźbą ze strony Ameryki, z drugiej zaś sprzeciw dla jednostronnej akcji zbrojnej bez mandatu Rady Bezpieczeństwa (RB NZ oraz działająca w jej imieniu misja kontrolna są w danym przypadku wystarczająco skutecznym instrumentem). Aby uzyskać poparcie dla interwencji zbrojnej przynajmniej części krajów europejskich, należało rozerwać jedność Europy (UE), czyli spowodować wyjście tych krajów poza wspólnie uzgodnione stanowisko UE. Hasłem dającym sygnał do podziału Europy stało się słynne określenie użyte przez szefa Pentagonu, Donalda Rumsfelda: „stara Europa”, dekadentka i niezdolna do działania (czytaj: Francja i Niemcy), oraz „nowa Europa”, pełna wigoru, odwagi i gotowa pójść za Ameryką Busha „na każdy szaniec” (czytaj: uosabiane przez Polskę kraje Europy Środkowej, ale także dzielna i zawsze towarzysząca Ameryce Anglia). Manewr Waszyngtonu okazał się w pełni skuteczny i znalazł formalny wyraz w słynnych listach poparcia („lojalkach”) dla polityki USA wobec Iraku. Najpierw był to list ośmiu (właściwie siedmiu, bo Pragę reprezentował indywidualnie prezydent Havel), który podpisały takie kraje jak Polska, Węgry, Hiszpania i Wielka Brytania. Wkrótce potem został ogłoszony list dziesięciu, przyjęty głównie przez państwa ubiegające się o przyjęcie do NATO. Świetna seria artykułów powstałych na bazie swoistego dziennikarskiego śledztwa „Financial Times” (26–30 maja

2003 r.) pokazała, z jakich motywów i w jaki sposób powstał spisec, który podzielił Europę na tle jej stosunku do amerykańskich planów wobec Iraku. Komentatorzy tego renomowanego dziennika piszą też, iż Waszyngtonowi nie było to tak naprawdę potrzebne ze względu na Irak, decyzję o wojnie podjęto bowiem znacznie wcześniej (prawdopodobnie w lutym 2001 roku, zamach z 11 września jedynie ją odłożył w czasie); USA mogłyby też wygrać tę wojnę militarnie bez pomocy sojuszników („damy sobie radę sami” wedle słów Rumsfelda). **Amerykański manewr podzielenia Europy** przy okazji Iraku był zastosowaniem szerszego planu „dezagregacji” Europy postrzeganej, jeśli zjednoczonej, jako rosnąca konkurencja dla Ameryki<sup>63</sup>.

Jednolite i konsekwentne stanowisko Unii Europejskiej oraz głównych krajów przystępujących mogło prawdopodobnie powstrzymać Waszyngton przed wojną, której negatywne konsekwencje dla Europy były oczywiste. Brak jedności Europy sprawił, iż nie miała ona (ani Londyn, ani Madryt, ani tym bardziej Warszawa) najmniejszego wpływu na postępowanie Białego Domu wobec Iraku, a zarazem dał administracji Busha asumpt do jej lekceważenia czy wręcz wyszydzenia, a nawet ośmielił do prób karania tych, którzy – jak Paryż czy Berlin – próbowali sprzeciwić się wojnie, łamaniu prawa, demontażowi systemu RB NZ. Zarysowany na przełomie 2002–2003 roku podział na tle stosunku do wojny z Irakiem utrzymał się przez cały następny rok. Co gorsza, miał on także wpływ na europejską politykę tych, którzy w rozgrywce „pomiędzy Waszyngtonem a Brukselą” postawili na administrację Busha. Chodzi przede wszystkim o ich stosunek do kształtu integracji europejskiej.

Jesienią 2003 roku toczyły się obrady Konferencji Międzyrządowej UE (IGC), a jej zadaniem było doprowadzenie do przyjęcia w czasie grudniowego posiedzenia Rady Europejskiej Traktatu Konstytucyjnego UE. Jego projekt został przygotowany przez powołany przez Radę Europejską w grudniu 2001 r. Konwent Europejski, szerokie ciało gromadzące na równych prawach przedstawicieli zarówno państw, jak i instytucji unijnych, parlamentów i rządów, krajów członkowskich i krajów przystępujących (!). Traktat Konstytucyjny nie tylko integrował w jedną całość traktaty wspólnotowe poczynając od Rzymu (1957) po Niceę (2000), czyniąc przez to podstawy Unii bardziej przejrzystymi i zrozumiałymi, ale także upraszczał funkcjonowanie unijnych procedur i mechanizmów oraz wzbogacał zakres działania UE i praw jej obywateli (Karta Praw Podstawowych) oraz – co niezwykle ważne – usprawniał proces podejmowania decyzji przez

<sup>63</sup> List siedmiu premierów został zainicjowany przez mającego uraz wobec osi Paryż–Berlin José Marię Aznara, z inspiracji Mike’a Gonzaleza, pracującego w redakcji „Wall Stret Journal”. Natomiast list dziesięciu został zainspirowany i zredagowany przez Bruce’a Jacksona, uważającego się za mentora przywódców Europy Środkowo-Wschodniej, pracującego dla amerykańskich firm zbrojeniowych (wcześniej dla wywiadu wojskowego USA). Dziennikarze „FT” opisują radość w Waszyngtonie po ukazaniu się tych dwóch listów oraz przygnębienie Javiera Solany, odpowiedzialnego za politykę zagraniczną i bezpieczeństwa UE, i Gerharda Schrödera, który poczuł się osobiście dotknięty nielojalnością polskiego premiera, ten bowiem „w czasie negocjacji członkowskich do UE dzwonił do Berlina parę razy dziennie, a przed podpisaniem listu zapomniał numeru telefonu do niemieckiego kanclerza”, „FT” z 26–30 maja 2003 r.



główne instytucje Unii. Ta ostatnia sprawa stała się dla państw sprzymierzonych z USA powodem doprowadzenia do fiaska szczytu IGC i szczytu w Brukseli. Problem tkwił w zaproponowanym przez Konwent odejściu od systemu głosowania w Radzie Europejskiej i Radzie Ministrów przyjętego w Nicei, w ramach którego Polska (podobnie jak Hiszpania) otrzymała 27 głosów ważonych, podczas gdy cztery unijne „mocarstwa”, w tym Niemcy, otrzymały po 29 głosów, a na przykład Niderlandy 13, Szwecja zaś 10. Propozycja Konwentu odchodziła od mechanizmu głosów ważonych na rzecz takiego systemu podejmowania decyzji, w którym każde państwo ma jeden głos, a do podjęcia decyzji potrzebna jest większość kwalifikowana, czyli większość (minimum 13 z 25) państw reprezentujących co najmniej 60% ludności; należy dodać, że do głosowania w Radzie dochodzi niezmiernie rzadko, przyjętą tam zasadą jest bowiem podejmowanie decyzji w drodze konsensusu. W ten sposób chciano uprościć sposób podejmowania decyzji, a zarazem wzmocnić ich demokratyczny charakter poprzez przyznanie większej wagi państwowi reprezentującym większą liczbę ludności (obywateli). Najbardziej zyskują na tym systemie Niemcy (ponad 80 mln ludności). W stosunku do nich traci nie tylko Polska (jedynie w ujęciu względnym, w ujęciu bezwzględnym bowiem waga Polski jest taka sama „w Nicei”, jak i „w Traktacie Konstytucyjnym” – ok. 8,4%) i Hiszpania, ale i Francja czy Wielka Brytania. O ile Paryż, Londyn czy Rzym zgodziły się na taki system, o tyle Warszawa i Madryt postanowiły nie dopuścić do „ucieczki” Niemiec, jak również zwiększenia różnic w proporcjach stosownych do liczby ludności<sup>64</sup>. Madryt jednak – na co wiele wskazywało – był gotowy na kompromis (w zamian za gratyfikacje w innych dziedzinach), ale Warszawa pozostała do końca dogmatycznie przywiązana do systemu nicejskiego, co symbolizowały hasła w rodzaju szokującego dla Europejczyków „Nicea albo śmierć” (J.M. Rokita) albo „nasz kompromis nazywa się Nicea” (L. Miller). Taka postawa, za którą skryli się Hiszpanie, doprowadziła do **spektakularnego i przynębiającego zarazem fiaska szczytu w Brukseli (13 grudnia 2003 r.)**. Warszawa i Madryt zachowały się trochę jak pies ogrodnika, który wprowadzie sam nie tracił, ale... Prezydencja włoska, widząc nieugiętą postawę Warszawy przywiązanej do swoich 27 głosów, nawet specjalnie nie próbowała szukać szansy na jakieś porozumienie. Wprawdzie inne państwa miały jakieś drobne zastrzeżenia do różnych punktów projektu konstytucji, lecz oczekiwano tam szybkich rozwiązań kompromisowych. Nieuzgodnienie stanowisk w sprawie sposobu głosowania spowodowało upadek całego traktatu. Odpowiedzialność za porażkę musiała spaść na Polskę, niezależnie od „zasług” innych państw, na przykład Francji, która ze swej strony także nie chciała słyszeć o żadnym kompromisie. Problem dla Polski polegał na tym, że wszystkie inne państwa zaakceptowały projekt Konwentu w tej części (Hiszpania cały czas sprytnie dawała do zrozumienia, że „Nicea nie jest biblią”). Stanowisko Polski wobec projektu konstytucji wzmocniającej UE, a zatem takiej, której obawiano się w Waszyngtonie Busha, powszechnie interpretowano jako dyktowaną opinią Białego Domu niechęć do silnej Europy.

<sup>64</sup> M. Dąbrowski, *Europejski falstart*, „Rz” z 22 grudnia 2003 r.

## Po dwóch krokach do tyłu – jeden do przodu

Wprawdzie widowiskowa porażka Konferencji Międzyrządowej rzutuje – jak się zdaje – na obraz i ocenę osiągnięć UE w 2003 roku, ale przecież w tym okresie Unia ma także do zanotowania istotne sukcesy, których nie wolno nie doceniać. Po brukselskim fiasku mówiono zresztą, iż jest to typowy sposób rozwoju integracji europejskiej: dwa kroki do przodu, jeden krok do tyłu; tym razem stało się na odwrót. Ocenę tę może zmienić dopiero przyszły, choć możliwy do uniknięcia scenariusz rozwoju: pojawienie się w Unii kilku prędkości, zmiennej geometrii, współpracy strukturalnej, a nawet wyprowadzenia formy takiej współpracy poza ramy instytucjonalne Unii. Byłoby to początkiem jej demontażu na rzecz innego sposobu budowy jedności Europy. Za wcześnie, by o tym mówić. Warto natomiast wskazać na to, co było sukcesem Unii w 2003 roku. Chodzi o przynajmniej trzy sprawy.

Pierwszą jest **rozszerzenie**. To, co z perspektywy krajów przystępujących było „obowiązkiem Unii”, czymś naturalnym i oczywistym, wcale takim nie było z perspektywy samej UE i jej krajów członkowskich. Z trzech powodów. Po pierwsze, jest to ogromny wysiłek finansowy, a zatem i zmniejszenie szczodrości finansowej dla krajów przystępujących, to największy ciężar do udźwignięcia spośród dotychczasowych rozszerzeń – nigdy wcześniej nie przyjmowano tak wielu o tyle biedniejszych krajów, a już Polska jest pod tym względem absolutnym rekordem (40% średniej unijnej). Po drugie, zagrożenie dla kultury instytucjonalnej Unii (obyczaje i kultura polityczna wnoszone do Unii przez kraje przystępujące). Tego nie należy bagatelizować, ponieważ ma to ogromne znaczenie dla sprawności działania UE. I po trzecie, możliwe zagrożenie dla dotychczasowego kształtu i dorobku Unii jako konstrukcji politycznej, która z braku jedności w kluczowych sprawach może przeżyć regres i cofnąć się pod tym względem o kilkadziesiąt lat, to znaczy do czasów „wspólnego rynku” i wspólnoty gospodarczo-handlowej, której wyrazem są jedynie wspólnotowe polityki tworzące tak zwany pierwszy filar. Ogromna inwestycja „starej Unii” w rozszerzenie może się obrócić przeciwko niej. „Piętnastka” miała tego świadomość i warto docenić ryzyko, jakie podjęła. Należy o tym pamiętać tym bardziej, o czym chętnie zapominają politycy krajów przystępujących, że tak naprawdę żaden z tych krajów nie spełnia kryteriów członkostwa. Wszystkie zostały przyjęte na kredyt, który może być spłacony jedynie poprzez ich zaangażowanie w umacnianie europejskiej konstrukcji integracyjnej.

Ważnym, a jeśli sprawy przybiorą pomyślny obrót, wręcz historycznym osiągnięciem Unii było przyjęcie przez Konwent Europejski ambitnego, lecz przecież także realistycznego, projektu Traktatu Konstytucyjnego UE. W ocenie przeważającej większości polityków, komentatorów i ekspertów państw europejskich (wyraźnym wyjątkiem była Polska) **traktat uczyni Unię bardziej skuteczną, przejrzystą i demokratyczną**. Traktat nie tylko konsoliduje podstawy prawne Unii oraz usprawnia jej mechanizmy, co jest niesłychanie ważne w obliczu jej tak poważnego rozszerzenia. Jego postanowienia, wewnątrznie zrównoważone

i innowacyjne zarazem, umacniają i pogłębiają integrację europejską. Do postanowień idących w tym kierunku należy zaliczyć reformę prezydencji UE, która staje się bardziej kolektywna i stabilna, rozszerzenie zakresu spraw, co do których będzie się podejmować decyzje za pomocą kwalifikowanej większości, silniejsze podkreślenie zasady subsydiarności, nadanie traktatowego charakteru proklamowanej w 2000 roku Karcie Praw Podstawowych, utworzenie stanowiska ministra spraw zagranicznych UE, wreszcie rozszerzenie kompetencji Unii na sprawy obrony. Zdaniem wielu, przyjęcie Traktatu UE jest historyczną koniecznością, choć w lutym 2004 r. nie było wiadomo, czy „historyczna konieczność” zostanie skonsumowana, czy traktat przejdzie do historii dlatego właśnie, że nie zostanie przyjęty. Zarówno państwa członkowskie Unii, jak i kraje przystępujące miały różne drobne zastrzeżenia do projektu (stosunkowo najpoważniejsze były w Wielkiej Brytanii, która tradycyjnie powstrzymuje procesy pogłębiania integracji), lecz po ewentualnych nieznacznych korektach tekst mógł być przyjęty przez wszystkie państwa, z wyjątkiem tych, które kwestionowały to, co większość uważała za jedno z kluczowych osiągnięć tego projektu. Chodzi o zasadę podwójnej większości przy podejmowaniu decyzji przez Radę Europejską i Radę (Ministrów) UE. Mechanizm zaproponowany przez Konwent – większość kwalifikowana potrzebna do podjęcia decyzji oznacza większość państw UE i (w tym) 60% jej obywateli – uważa się za znacznie prostszy, a przy tym zwiększający legitymizację decyzji organów Unii jako wspólnoty. Uważano tak również we Francji, Wielkiej Brytanii czy we Włoszech, a więc w tych wielkich krajach Unii, które traciły swój dotychczasowy „równościowy” parytet w stosunku do Niemiec<sup>65</sup>. Ostateczne od/porzucenie projektu traktatu byłoby wielkim ciosem w proces integracji europejskiej przede wszystkim dlatego, że uruchamiałoby dynamikę tendencji odśrodkowych i dezintegracyjnych, które w dłuższej perspektywie mogłyby zniweczyć dotychczasowy dorobek w tym zakresie i przenieść Europę z powrotem do stanu stosunków międzynarodowych znanych z epok poprzedzających „wspólną Europę”; chodzi w tym przypadku o powrót do międzymocarstwowej rywalizacji włączającej w tę grę Rosję, którą UE i jej poprzedniczki skutecznie powstrzymywały od tego rodzaju „rozgrywek”. Taki rozwój wydarzeń byłby szczególnie niebezpieczny dla słabszych i mniejszych państw Europy Środkowej i Wschodniej, w tym zwłaszcza Polski. To zatem w ich przede wszystkim interesie leżało przyjęcie traktatu, nawet jeśli miałyby to być poprzedzone pewnymi koncesjami na rzecz Polski, na przykład podniesieniem progu demograficznego w systemie podwójnej większości z trzech piątych (60%) do na przykład dwóch trzecich (66%), co oznaczałoby, iż mniejsza liczba państw (a w tym ludności) jest niezbędna do zablokowania niechcianej przez nie decyzji. Są także do dyspozycji inne, sprawdzone w Unii mechanizmy umożliwiające zablokowanie decyzji, gdyby była ona forsowana wbrew interesom mniejszości czy nawet pojedynczego państwa; któryś z nich mógłby być wprowadzony do projektu Konwentu. Warto wreszcie pamiętać, że w Unii decyzje przyjmuje się przez konsensus (co oznacza

<sup>65</sup> J.-P. Raffarin (premier Francji), *Francja dla Europy*, „Rz” z 15 stycznia 2004 r.

długie negocjacje poprzedzające), a do jej kultury instytucjonalnej należy umiejętność tworzenia koalicji na rzecz jakiegoś rozwiązania, nie przeciwko. **Unia Europejska, wbrew temu, co sądzi się zwłaszcza w Polsce, nie jest areną zmagających się w kategoriach *Realpolitik***, których wynik jest sumą zerową, lub też właściwych bardziej komunistycznej tradycji „kto kogo”. Unia Europejska powstała, aby zerwać z tą tradycją, i byłoby fatalnie, gdyby to właśnie państwa będące w przeszłości jej ofiarami miały zepchnąć Unię w tym kierunku.

Trzecim ważnym, choć niezbyt medialnie nagłośnionym, osiągnięciem Unii Europejskiej w 2003 roku jest przyjęcie Europejskiej Strategii Bezpieczeństwa (ESS). Chodzi o dokument, który powstał pod kierunkiem Javiera Solany przy współpracy państw UE – członków i przystępujących. Dokument przyjęty przez Radę Europejską 12 grudnia 2003 nosi tytuł „**A SECURE EUROPE IN A BETTER WORLD. European Security Strategy**”. Jest to pierwsza w historii Wspólnot/Unii strategia bezpieczeństwa. Tym samym UE wchodzi w nowy etap swego rozwoju – staje się wspólnotą bezpieczeństwa również wobec świata zewnętrznego. Redagowany i negocjowany przez wiele miesięcy (pierwsza wersja ujrzała światło dzienne w Salonikach w czerwcu 2003 r.) dokument jest zupełnie niezły. Zostały w nim zdefiniowane zagrożenia dla Europy. Pod tym względem nie może być nadmiernie oryginalny, choć nieco inaczej rozłożone są akcenty w porównaniu z innymi dokumentami tego rodzaju. Zaczyna się od zarysowania globalnego obrazu, a w jego ramach podkreśla się, iż każdego roku na świecie 45 mln ludzi umiera z głodu i niedożywienia, na ogromnych połaciach Afryki AIDS powoduje załamywanie się społeczeństw, a bezpieczeństwo jest warunkiem wstępnym do rozwoju, którego utrzymanie uniemożliwiają liczne konflikty. Wiele krajów nie może wyjść z zakłętego kręgu: konflikt – brak bezpieczeństwa – ubóstwo – konflikt... Walka o zasoby naturalne, zwłaszcza wodę (w obliczu globalnego ocieplenia), będzie przyczyną różnych niestabilności. Dla Europy problemem jest jej zależność energetyczna. Później wskazuje się na konkretne zagrożenia: 1) terroryzm, 2) proliferację broni masowego rażenia, 3) konflikty regionalne, 4) „państwa upadłe”, 5) zorganizowaną przestępczość. Odpowiedzią Unii na te zagrożenia powinna być jej bardziej aktywna rola i asertywna postawa na scenie międzynarodowej. W dokumencie wskazuje się na podstawowy i nierozdzielny związek pomiędzy bezpieczeństwem wewnętrznym i międzynarodowym (to jest mocna strona Unii). Ogromną wagę przywiązuje się do „budowy bezpieczeństwa w naszym sąsiedztwie” (Bałkany, obszar postsowiecki, Bliski Wschód, basen śródziemnomorski). Wiele uwagi poświęca się porządkowi międzynarodowemu, którego kształt ma zasadnicze znaczenie dla bezpieczeństwa. Świat lepszy i bardziej bezpieczny to przede wszystkim świat bardziej sprawiedliwy (zwalczanie ubóstwa i marginalizacji). Unia deklaruje wolę bardziej przemyślanego (warunkowego) stosowania instrumentów pomocowych. Instrumenty ekonomiczne (handel, pomoc bezzwrotna, migracja) będą bardziej podporządkowywane celom politycznym związanym z bezpieczeństwem. Unia stawia na wzmocnienie ONZ i zasad porządku międzynarodowego. W dokumencie podkreśla się także podstawowe znaczenie stosunków z USA dla bezpieczeństwa Europy, Zachodu i świata (i właśnie dlatego „powinny być zrównoważone” przez wzmocnioną Europę zgodnie ze słowami J. Solany). Doku-

ment zawiera ogólne dyrektywy odnoszące się do CFSP i ESDP. Podkreśla się konieczność „rozwinęcia kultury strategicznej, która pozwoli na wczesne, szybkie i, jeśli to konieczne, zdecydowane (*robust*) interwencje”. W sferze polityczno-dyplomatycznej Unia będzie podejmować „preventive engagement”. Unijne CFSP i ESDP muszą być nie tylko bardziej spójne, ale także wyposażone w lepsze zdolności wojskowe.

Postęp w tej dziedzinie to nie tylko przyjęcie Europejskiej Strategii Bezpieczeństwa (udało się to uczynić pierwszego dnia szczytu, który następnego dnia zakończył się fiaskiem z powodu nieprzyjęcia Traktatu Konstytucyjnego UE). W samym projekcie Traktatu Konstytucyjnego znalazły się również bardzo ważne zapisy dotyczące wspólnej obrony. Mówi się tam mianowicie w bardzo rozległym artykule 40, iż „wspólna polityka bezpieczeństwa i obrony obejmuje stopniowe kształtowanie wspólnej polityki obronnej” i może doprowadzić do „wspólnej obrony, jeżeli Rada Europejska stanowiąc jednymyślnie tak zdecyduje”. I dalej, art. 40 par. 7 ustanawia wręcz klasyczną klauzulę *casus foederis*, typową dla układów sojuszniczych w rodzaju Waszyngtońskiego (1949), Brukselskiego (1948) czy Warszawskiego (1955). Brzmi ona następująco: **w ramach ściślejszej współpracy w dziedzinie wzajemnej obrony „w razie zbrojnej agresji na terytorium jednego z Państw uczestniczących we współpracy, pozostałe Państwa uczestniczące udzielają mu, wszelkimi dostępnymi im środkami, pomocy i wsparcia, wojskowego lub innego...”**. Jeśli Traktat Konstytucyjny zostanie przyjęty, Unia stanie się systemem wspólnej obrony na kształt NATO. Polityka UE w tym zakresie nie będzie uchybiać czy stanowić przeszkody dla realizacji zobowiązań wynikających dla znaczącej części państw Unii z ich członkostwa w NATO. W projekcie traktatu znajduje się także „klauzula solidarności” (art. 42), która przewiduje udzielenie pomocy państwu członkowskiemu, także poprzez przekazanie środków wojskowych, dla zapobieżenia lub na wypadek ataku terrorystycznego na jego terytorium (także w sytuacjach katastrof naturalnych lub zawinionych przez człowieka).

Powyższe postanowienia należy ujmować w szerszym kontekście. Na ów kontekst składa się cała ESDP, przedstawiona wcześniej ESS, tworzone od kilku lat siły szybkiego reagowania (60-tysięczny korpus oraz dwie zmiany, czyli razem około 200 tys. żołnierzy, powinien osiągnąć zdolność bojową w tym roku), zapisana w projekcie Traktatu Konstytucyjnego UE Europejska Agencja ds. Zbrojeń, Badań i Zdolności Wojskowych, która powstanie, niezależnie od dalszych losów projektu traktatu, instrumenty dyplomacji prewencyjnej, politycznie zorientowana pomoc gospodarcza oraz możliwość zastosowania klauzuli solidarności; letnia interwencja sił Unii w Kongo pokazała, że możliwe jest jej szybkie i stanowcze reagowanie<sup>66</sup>. Ten kierunek rozwoju został potwierdzony wspólną propozycją

<sup>66</sup> Chodzi o operację „Artemida”, czyli interwencję sił wojskowych UE w DRK (prowincja Ituri, na pograniczu z Ugandą), na podstawie rezolucji RB NZ. Rozlokowane błyskawicznie siły wielonarodowe UE, liczące niespełna 2 tys. żołnierzy, zapobiegły przerodzeniu się konfliktu etnicznego w ludobójstwo na masową skalę. Szybkość i sprawność, z jaką przeprowadzono tę operację (francuskie dowództwo) bez najmniejszej pomocy ze strony NATO, wywołała zaskoczenie w kwaterze głównej Sojuszu i w Waszyngtonie.

Londynu, Paryża i Berlina (10 lutego 2004 r.) utworzenia „sił bardzo szybkiego reagowania”: 7–9 jednostek taktycznych po 1500 żołnierzy każda, zdolnych do rozwinięcia w ciągu 15 dni i utrzymania operacyjnego przez 1–4 miesiące. Ich użycie wymagałoby mandatu RB NZ. Ten rodzaj sił byłby przejawem współpracy strukturalnej w dziedzinie obrony, o której mówi projekt Traktatu Konstytucyjnego<sup>67</sup>. Do tego dochodzą wcześniejsze i zaproponowane w traktacie postanowienia dotyczące wprowadzania w życie przestrzeni wolności, bezpieczeństwa i sprawiedliwości. Wszystko to pokazuje na niesłuchanie dynamiczny (zwłaszcza w warunkach unijnych) i rozległy rozwój UE w ostatnich latach jako systemu bezpieczeństwa zbiorowego, zarówno w aspekcie wspólnoty bezpieczeństwa, jak i – potencjalnie – wspólnej obrony. Unia rozwija komplementarnie „soft power and hard power”, a jak wskazuje znany ekspert z londyńskiego Center for European Reform, Steven Everts, przyjęte dokumenty i towarzyszące im działania „sugerują, że UE traci swą niewinność w podejściu do spraw międzynarodowych”<sup>68</sup>. Integrowanie całego tego systemu, zapewnienie mu spójności, sprawności i wiarygodności, jest kwestią następnych lat. Byłoby jednak błędem ignorowanie podjętego przez państwa UE wysiłku w tym zakresie. Jeszcze większym błędem byłoby ewentualne sabotowanie tego kierunku rozwoju Unii przez jakieś państwa przystępujące (np. przez Polskę), tylko dlatego, że nie podoba się to obecnej administracji USA.

### **Długa droga do emancypacji**

Ostatni rok nie należał do udanych, jeśli chodzi o budowanie pozycji międzynarodowej UE, która chcąc nie chcąc zaczęła uosabiać całą Europę. Wiązało się to, jak wiadomo, ze sprawą Iraku. Amerykański atak na Irak wywołał najgłębszy kryzys w stosunkach transatlantycznych po drugiej wojnie światowej. Wiele o tym pisano, więc w tym miejscu – tylko kilka uwag. Gdyby odwołać się do tonacji komentarzy w mediach oraz wypowiedzi polityków z obu stron oceanu, rok 2003 był pasmem upokorzeń i porażek, jakich doznawała Europa ze strony swego potężnego sojusznika. Dotyczyło to zarówno stosunków dwustronnych, jak i działań Ameryki w międzynarodowym otoczeniu Europy. Wysocy przedstawiciele administracji Busha oraz wpływowi eksperci i komentatorzy nie kryli swego lekceważenia czy wręcz pogardy wobec Europy, kontynuowane były zabiegi będące wyrazem polityki „dziel i rządź”; w celu rozbijania jedności Europy Waszyngton wzmacniał nawet pierwiastek nacjonalistyczny w polityce państw Starego Kontynentu. Z jednej strony zjednoczona i silna Europa była postrzegana w Waszyngtonie jako śmiertelne zagrożenie i wyzwanie dla nowej roli międzynarodowej USA, z drugiej strony krytykowano lub ośmieszano jako niewystarczające wysiłki Europy zmierzające do wzmocnienia jej potencjału w sferze

<sup>67</sup> „Le Monde” z 12 lutego 2004 r.

<sup>68</sup> S. Everts, *Two cheers for the EU's new security strategy*, „IHT” z 9 grudnia 2003 r.; zob. też J. Solana, *Droga Europy do bezpieczeństwa*, „Rz” z 12 grudnia 2003 r.

polityki bezpieczeństwa. Wśród przedstawicieli administracji Busha pojawiał się pogląd, że Europą nie należy się po prostu przejmować, ponieważ jej potencjał i możliwości są bez znaczenia dla USA. Jeśli Europa chce być zauważona przez USA, powinna się postarać, żeby być Waszyngtonowi użyteczna; w końcu to do Stanów Zjednoczonych należy wybór: współpracować czy nie. Stosunki z Europą nie mają już dla USA żywotnego znaczenia<sup>69</sup>. Ten lekceważący stosunek znajdował także wyraz w podejściu Waszyngtonu do NATO: albo Europejczycy będą działać pod dyktando Ameryki i zgodzą się na przekształcenie Sojuszu w sprawny instrument jej globalnej strategii, albo NATO skazane będzie na uwiad, bo przecież Amerykanie mogą się obejść bez NATO. Jak się zdaje, dostrzegają to także niektórzy amerykańscy eksperci. Były wysoki urzędnik Pentagonu i Departamentu Stanu Wayne Merry pisze: „**Dzisiaj NATO służy pozaeuropejskim celom globalnej polityki USA**, jako «skrzynka z narzędziami» w operacjach prowadzonych z dala od Ameryki. Ten nowy żargon odzwierciedla pogardę Waszyngtonu dla europejskich pomocników, którzy są raczej «narzędziami» i punktami zaopatrzenia w paliwo niż sojusznikami. Dopóki USA nie porzucą swych hegemonicznych nawyków w NATO, dopóty Sojusz nie tylko nie stanie się wehikułem odbudowy więzi transatlantyckich, lecz będzie w tym dziele przeszkodą”, konkluduje Merry<sup>70</sup>. Ta niefrasobliwość w podejściu do Sojuszu Atlantyckiego, który przez wiele państw europejskich jest uważany za fundament ich polityki bezpieczeństwa, wyrażała się w publicznie sformułowanych pomysłach rozszerzenia NATO na Irak, Egipt i Izrael, które mogły jedynie ośmieszać tę organizację<sup>71</sup>. Obowiązującym w Waszyngtonie „paradygmatem” tych stosunków stało się porównanie Amerykanów do boga wojny Marsa, Europy zaś do Wenus; w mniej wzniosłej interpretacji chodzi o różnicę między kowbojami a barmanami czy też kelnerami. Lektura formułującej tę metaforę pracy Roberta Kagana stała się obowiązkowa zarówno w USA, jak i w „dekadencej” Europie. Przyznać trzeba, iż mimo upraszczającego z natury klucza (Mars vs. Venus) Kagan z dużą intuicją identyfikuje różnice pomiędzy kulturą strategiczną Ameryki i Europy, choć zarazem ignoruje – jak się zdaje – ograniczoną użyteczność podejścia USA do rozwiązywania spraw świata w duchu ich kultury strategicznej<sup>72</sup>. To w tej tonacji

<sup>69</sup> Świetny przegląd tych postaw i opinii w: J. Vinocur, *Trans-Atlantic quarrel: An indifferent Washington shrugs*, „IHT” z 19 stycznia 2004 r. Antyeuropejską strategię USA następująco demaskuje czy też rekonstruuje znany konserwatywny komentator „The Financial Times” (tym razem na łamach równie konserwatywnego amerykańskiego tygodnika „Weekly Standard”): 1) integracja UE nie leży w interesie USA, 2) wzmocnić powiązania polityczno-wojskowe USA z Europą („nową”) Wschodnią, 3) występować przeciw ESDP, 4) występować przeciw stałemu miejscu UE w RB NZ, 5) zniechęcać Wielką Brytanię do euro, 6) wzmocniać nieufność narodów Europy do Brukseli (instytucji UE). Cyt. za „Forum” z 29 września 2003 r.

<sup>70</sup> E. Wayne Merry, *We can't be partners with an obsolete alliance*, „IHT” z 4 lutego 2004 r.

<sup>71</sup> „IHT” z 27 października 2003 r.

<sup>72</sup> R. Kagan, *Paradise and Power. America and Europe in the New World Order*, London 2003. Kagan prezentuje USA jako współczesną odmianę XIX-wiecznego mocarstwa europejskiego, z właściwą mu mieszanką imperialistycznej ekspansji i poczucia misji cywilizacyjnej. Trafnie obrazuje też światopogląd dzisiejszego Waszyngtonu w sprawach międzynarodowych: „jeśli masz młotek, wszystkie problemy wyglądają jak gwoździe: wystarczy uderzyć”.

odbywały się wszystkie spotkania Europy z Ameryką w 2003 roku, zarówno na szczeblu politycznym, jak i eksperckim. Zaowocowało to radykalnym spadkiem sympatii dla Ameryki wśród europejskiej opinii publicznej, obejmującym zasadniczo wszystkie warstwy i kręgi społeczne w Europie. Nie ograniczyło się to zresztą do sympatii, lecz także dotyczyło zaufania do polityki USA, a już szczególnie szokiem był sondaż zamówiony przez Komisję Europejską, który pokazał, że obywatele „15” uważają USA za jedno z największych zagrożeń dla pokoju (czwarte miejsce w kategorii państw, wyższe niż Libia, Chiny czy Rosja), a sądzą tak przede wszystkim ludzie młodzi i wykształceni<sup>73</sup>.

Próby odwrócenia tego trendu były podejmowane przede wszystkim przez środowiska pozarządowe. Słynny był na przykład manifest na rzecz odnowy partnerstwa transatlantyckiego ogłoszony w maju 2003 roku przez szereg wybitnych amerykańskich osobistości z M. Albright, Z. Brzezińskim i J. Schlesingerem na czele. Nie brak było jednak głosów, że nawet fundament tego partnerstwa – wspólne wartości i interesy – staje się coraz mniej wspólny, a postępujące oddalanie się od siebie dwóch ośrodków tej samej cywilizacji jest trendem o charakterze sekularnym. „Dzieli nas nie tyle Irak, ile głębsze zmiany w polityce USA, których Irak był jedynie odzwierciedleniem”, dawało się coraz częściej słyszeć w Europie. Niezmiennie solidnym fundamentem związków transatlantyckich była stale pogłębiająca się współzależność gospodarcza (zwłaszcza wymiana handlowa i skala wzajemnych inwestycji), i ona być może pozwoli przetrwać tym więzom niezależnie od doraźnych koniunktur politycznych. Wbrew medialnemu oglądowi sytuacji, to wcale nie jest tak, że Europa jest skazana na Amerykę, podczas gdy Waszyngton może wybierać. Ameryka w nie mniejszym stopniu potrzebuje Europy, niż Europa Ameryki, na co trafnie wskazywał Brzeziński. Rzecz jest raczej w świadomości niż w realiach. Europa nie jest jeszcze w stanie podyktować Ameryce ceny za ewentualne zerwanie, ale to może być tylko kwestią czasu, i polityka Busha prawdopodobnie przyspieszy przekształcanie się Europy, aby posłużyć się Karolem Marksem: „z klasy w sobie w klasę dla siebie”<sup>74</sup>.

Wiele wskazuje na to, że niezależnie od tego, jak się potoczy rozwój stosunków Europy z Ameryką w najbliższym czasie, zwłaszcza w razie zwycięstwa demokracji w wyborach prezydenckich w USA w listopadzie br., stosunek Stanów Zjednoczonych do Europy w kontekście wojny przeciwko Irakowi stał się dla Europejczyków tak dotkliwą lekcją, iż wyciągną z niej zasadnicze wnioski, nawet jeśli ich wdrażanie, jak to zwykle bywa w UE, zajmie im trochę czasu. Amerykańską lekcję odczuli dotkliwie wszyscy, nawet, jak wiele wskazuje, Brytyjczycy. Europejczycy dojrzeliby psychicznie, jak się zdaje, do tego, aby nie pozwolić

<sup>73</sup> „IHT” z 4 listopada 2003 r.; W. Pfaff, *Seeing mortal danger in a superpower Europe*, „IHT” z 3 lipca 2003 r.

<sup>74</sup> „Le Monde” z 15 maja 2003 r.; „GW” z 2 lipca 2003 r.; S. Kauffmann, *Valeurs transatlantiques, pas si communes*, „Le Monde” z 6 czerwca 2003 r.; T. Garton Ash, *List do Ameryki*, „GW” z 30 kwietnia–1 maja 2003 r.; *Ameryka potrzebuje Europy*, z prof. Zbigniewem Brzezińskim rozmawia Mateusz Flak, „Tygodnik Powszechny” z 8 czerwca 2003 r.; Z. Brzeziński, *Skazani na współpracę*, „Rz” z 13–14 września 2003 r.



Ameryce na podobne traktowanie w przyszłości. Problem w tej chwili tkwi w znalezieniu właściwej **strategii wobec amerykańskiego wyzwania**. Jej podstawą musiałoby być jednak odrobienie „zadania domowego”, co nie jest w tym przypadku takie oczywiste. Na to zadanie składać się musi: konsolidacja instytucjonalna (Traktat Konstytucyjny), odrodzenie dynamiki gospodarczej, rewitalizacja cywilizacyjna (tożsamość, demografia). Zresztą, jak pokazują wszechstronne statystyki, kraje UE są przygotowane do radzenia sobie w procesach globalizacji znacznie lepiej, niż się powszechnie uważa. Jeśli chodzi o strategię, to wiadomo, iż musi tu być zastosowane inne podejście – pośrednie. Unia Europejska nie jest na tyle zintegrowanym organizmem (*single actor*), w porównaniu z USA, aby mogła być podmiotem poważnej strategii międzynarodowej. Reakcją na amerykańskie wyzwanie wcale nie musi być próba dorównania Ameryce ani pod względem potencjału militarnego (podobna wielkość jest niemożliwa do osiągnięcia i zbędna, jeśli chodzi o użyteczność), ani pod względem zachowań na scenie międzynarodowej. „Demokracji, jak słusznie zauważa komisarz UE, Chris Patten, nie upowszechnia się za pomocą nawet najbardziej precyzyjnych rakiet”. Być może ma rację włoski filozof Etienne Balibar, który w swej ostatniej książce (*L'Europe, l'Amerique, la Guerre*, Paryż 2003) pisze, iż odpowiedzią Europy powinna być „antystrategia”. Europa nie powinna rywalizować z USA pod względem potencjału ani bezpośrednio odpowiadać na ich politykę, lecz być ośrodkiem i katalizatorem swoistej „sieci”. Chodzi w danym przypadku o tworzenie systemu powiązań na rzecz rozwoju gospodarczego oraz rozwiązywania problemów z zakresu bezpieczeństwa poprzez mediacje, rozbrojenie, zabiegi z zakresu bezpieczeństwa zbiorowego, przede wszystkim w swoim bezpośrednim otoczeniu, a następnie rozszerzanie takiego mediacyjnego, niekonfliktowego sposobu działania na coraz dalsze regiony. Takie podejście miałyby się okazać na dłuższą metę zarówno korzystniejsze dla samej Europy (to jest jej żywioł), jak i bardziej akceptowane w świecie niż podejście amerykańskie. W ostatnim okresie pojawiło się zresztą więcej recept na europejską mocarstwowość – odmienną od amerykańskiej, ale pozwalającą na obronę interesów Europy (jej narodów i państw) na scenie międzynarodowej<sup>75</sup>.

## NA WSCHÓD OD LINII CURZONA/HUNTINGTONA

„Cała władza w ręce...” prezydenta Putina. Tak można byłoby w największym skrócie i uproszczeniu podsumować rozwój sytuacji w Rosji w ciągu ostatniego roku. W uproszczeniu, ponieważ obraz sytuacji jest znacznie bardziej złożony i nie tak jednoznaczny w swej wymowie jak otwierające hasło autorstwa Włodzimierza Iljicza. Wtedy zresztą było ono hasłem rewolucji, dzisiaj stabilizacji. Stąd

<sup>75</sup> Omówienie raportu World Economic Forum, pokazującego, iż sześć z dziesięciu najbardziej konkurencyjnych gospodarek znajduje się w Europie (numer jeden – Finlandia), w „IHT” z 30 października 2003 r.; Ch. Patten, *Democracy doesn't come from precision missiles*, „IHT” z 16 września 2003; P. Kennedy, *Długa droga do mocarstwowości*, „Rz” z 19–20 lipca 2003 r.; R. Kuźniar, *Mocarstwo Europa*, „Rz” z 12 stycznia 2004 r.

też zasadne jest pytanie o oblicze stabilizacji, jej cel i kierunek dalszej ewolucji. Niezależnie jednak od zniuansowanych odpowiedzi, jakie mogą zostać na nie udzielone, nieodparcie nasuwa się jedna podstawowa konstatacja:  **pogłębia się systemowa odmienność Rosji i skupionych wokół niej państw postsowieckich.** Huntington miał rację, kiedy wiosną 1993 roku rysował swą linię biegnącą nieco na wschód od linii Curzona, oddzielającą prawdziwą Europę, tradycyjny Zachód, od cywilizacji prawosławnej. Rzecz nawet nie tyle w pogłębianiu się owej systemowej odmienności (była ona przecież największa w czasach ZSRR), ile w tym, iż wydarzenia i tworzone przez nie tendencje pokazują, że dalszy rozwój Rosji nie będzie polegać na choćby niekonsekwentnym, lecz stopniowym upodabnianiu się do świata zachodniego, zwłaszcza w jego europejskiej wersji; Rosja pójdzie swoją drogą i pociągnie za sobą na tej drodze część państw wchodzących wcześniej w skład Związku Sowieckiego. Jeszcze do niedawna można było żywić iluzję, iż będzie inaczej, iż Moskwa podejmie wysiłek modernizacji poprzez adaptację do zachodniego wzorca rozwojowego.

Ostatni rok stał w Rosji pod znakiem konsolidacji władzy państwowej w rękach prezydenta Putina. Owa konsolidacja przejawiała się w czterech aspektach. Po pierwsze, była to eliminacja z życia ekonomicznego i zarazem publicznego tak zwanych złodziejskich baronów. Chodzi o kapitalistyczną oligarchię, która pojawiła się w Rosji w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych w rezultacie uwłaszczenia się na majątku państwowym Związku Sowieckiego. Ta grupa istotnie doszła do niewyobrażalnego wręcz bogactwa w sposób niezgodny z prawem i we współdziałaniu z przestępczością zorganizowaną, lecz zarazem stała się z czasem nośnikiem idei liberalnego kapitalizmu, łącznie z jego przejawami w życiu publicznym (media, reprezentacja polityczna). Putin zarządził, według jednego z określeń, prawdziwą „jesień oligarchów”, której spektakularną manifestacją było aresztowanie M. Chodorkowskiego, szefa Jukosu. Po drugie, wraz z niezależnymi od władzy państwowej oligarchami zniknęły, tracąc finansową podstawę, niezależne od tej władzy media. Po trzecie, zgodnie z ocenami zagranicznych ekspertów i organizacji pozarządowych, ostatnie pozory niezależności straciła władza sądownicza. Po czwarte, w wyniku „wyborów” parlamentarnych straciły swoją reprezentację w Dumie ugrupowania o orientacji prawicowo-liberalnej. „Wybory” (według wspaniałego określenia Rady Europy „wolne, choć nieuczciwe”, brawo Rada Europy!) były raczej plebiscytem niż przejawem jednej z podstawowych zasad demokracji. **System polityczny Rosji stał się czystą wersją autorytaryzmu**, tradycyjnie przybranego w szcztankowe dekoracje demokracji. Być może trafnym określeniem dla tego systemu byłyby termin „**demokracja potiomkinowska**”. Cała władza, a przynajmniej jej kluczowe instrumenty, dostała się w ręce ludzi z KGB-owskim rodowodem (drużyna Putina). Zachodni komentatorzy pisali o przekroczeniu przez Putina punktu krytycznego oddzielającego nawet bardzo ułomną demokrację od czegoś, co nawet nie jest jej pozorem; pojawiły się także dosadne, choć przesadne określenia w rodzaju „Wład Palownik”. Należy przy tym pamiętać, iż ów proces dokonywał się przy pełnym społecznym przyzwoleniu. Pojedyncze próby jego

powstrzymania nie wywoływały społecznego odzewu. Bez wątpienia, władca Kremla dał rosyjskiemu społeczeństwu wyteńskiony porządek, nawet jeśli nie był on pochodną państwa prawa i rządów prawa. Obserwatorzy mogli się jedynie spierać, czy ów ład był stabilizacją, czy raczej stagnacją. Stagnacja byłaby zapowiedzią niestabilności w przyszłości. Putinowi niewątpliwie sprzyjały wysokie ceny ropy naftowej, dzięki którym państwo stało się wypłacalne wobec swoich obywateli, a także wobec zagranicy, i mogło jeszcze przy tym zgromadzić pokaźne rezerwy dewizowe. „Zwalniało to” rząd rosyjski od poważniejszych wysiłków w zakresie reformowania gospodarki i upodabniania jej do standardów międzynarodowych. Przyjęcie Rosji do WTO czy OECD było bardziej odległe niż jeszcze kilka lat temu<sup>76</sup>.

Umacnianiu się takiej Rosji, obok wysokich cen ropy i społecznej akceptacji, sprzyjał również Zachód. W obliczu polaryzacji międzynarodowej na tle wojny z Irakiem i zagrożenia terrorystycznego, w tym zwłaszcza kryzysu w stosunkach transatlantyckich, Rosja stała się przedmiotem rywalizacji pomiędzy Waszyngtonem a Paryżem i Berlinem. Aby zyskać jej przychylność, zachodni politycy milczeli w sprawie regresu pod względem standardów demokratycznych i praw człowieka. Sama Rosja, niczym panna na wydaniu, zdawała się wahać, kogo wybrać. Postimperialny atawizm i chęć udziału w „ponoszeniu odpowiedzialności” za globalne bezpieczeństwo (terroryzm, którym Moskwa chciała obciążyć Czeczenów) zbliżały ją do Waszyngtonu. Z kolei obawa przed amerykańską hegemonią i nadmierną obecnością USA w sąsiedztwie Rosji, a także interesy gospodarcze, powinny zbliżać ją do Europy. Jednak Europa, wprawdzie tolerancyjna jak na zachodnie standardy, nie zawsze była wystarczająco tolerancyjna jak na rosyjskie standardy w sprawach demokracji i praw człowieka. UE zdobyła się wprawdzie na projekt rezolucji w Komisji Praw Człowieka ONZ, który został odrzucony. Szczególnie hańbiącym Rosję i wyrozumiałą część Zachodu był krwawy konflikt w Czeczenii. Rosjanie twierdzili: to nie jest wojna; zachodni obrońcy praw człowieka odpowiadali: to jest gorsze niż wojna. Gorsze, ponieważ w czasie wojny „cywilizowane narody” przestrzegają „zasad człowieczeństwa”, lub inaczej „wymogów ludzkiego sumienia” (język prawa humanitarnego). Rosjanie czuli się z tego zwolnieni wobec narodu czeczeńskiego. Tej wojnie i towarzyszącym jej ludobójczym praktykom nie było widać końca. „Dlaczego powinno nas to obchodzić?” – pytał Zbigniew Brzeziński. I odpowiadał – **w ciągu dziewięciu lat wojny zginęło około jednej czwartej ludności Czeczenii. Reszta pozostaje w stanie ekologicznej i medycznej katastrofy.** A jednak Rosjanie nie tylko nie czuli presji Zachodu w tej sprawie, lecz nawet znajdowali tam znakomitych adwokatów (*casus* haniebnych wypowiedzi włoskiego premiera Berlusconiego). Niepokojące były także różne elementy rosyjskiej polityki zagranicznej świadczące o niemożności zerwania Rosji z niedobłą dla jej otoczenia przeszłością,

<sup>76</sup> V. Erofejev, *Failing to bury Lenin*, „IHT” z 1 sierpnia 2003 r.; E. Skalski, *Putin, szczęście Rosji?*, „GW” z 1 października 2003 r.; *Vlad the impaler*, „The Economist” z 1 listopada 2003 r.; W. Pfaff, *Autumn of the oligarch*, „IHT” z 30 października 2003 r.; S. Lee Myers, *Russia turns away from the European 'idea'*, „IHT” z 31 grudnia 2003–1 stycznia 2004 r.; K. Wrubel, *Dokręcanie śruby*, „Rz” z 6–7 grudnia 2003 r.

przeszłością, która obciąża ją samą i utrudnia jej przejście do europejskiej współczesności. Chodziło zwłaszcza o jej stosunek do Gruzji i Mołdowy, w tym odmowę realizacji postanowień CFE w odniesieniu do tych krajów (Moskwa nie chce wycofać stamtąd swych wojsk), prowokacje i presję na Ukrainę na tle wywołanego przez Moskwę sporu o Tuzłę, niejasny udział Moskwy w kryzysie politycznym na Litwie (próba uzależnienia prezydenta R. Paksasa poprzez ulokowanie w jego otoczeniu swych agentów), formułowane ultymatywnie postulaty zawarcia dwustronnych umów gospodarczych i handlowych z przyszłymi członkami UE, mimo świadomości, iż jest to materia pozostająca w kompetencji Komisji Europejskiej, etc. Postępującą marginalizację w sprawach globalnych Rosja chciała zrekompensować sobie znaną z historii aktywnością wobec państw bezpośredniego otoczenia<sup>77</sup>.

Globalnej marginalizacji Rosji **towarzyszyła marginalizacja Ukrainy na scenie europejskiej**. Był to niewątpliwym sukces i skutek działań Moskwy. Był to również rezultat procesów wewnętrznych podobnych do tych, które zachodziły w Rosji. Ukraina nie ma wprawdzie swojej Czeczenii, lecz to, co spośród zjawisk wewnętrznych znajdowało zrozumienie Zachodu, gdy chodziło o Rosję, nie było tolerowane w przypadku Ukrainy. Stąd wcześniejsze zniecierpliwienie i frustracja polityką Ukrainy przeszło w swoiste „odpisanie” tego kraju przez Zachód. Różne formuły dialogu w rodzaju USA–Polska–Ukraina czy Wielka Brytania–Polska–Ukraina lub NATO–Ukraina były zbyt wątkowe, aby mieć realny wpływ na sytuację tego kraju i jego politykę zagraniczną. Również znacznie słabszą niż wcześniej rolę odgrywała Polska, która została politycznie i „energetycznie” zaabsorbowana udziałem w wojnie przeciwko Irakowi. Mimo ostrzeżeń analityków i obserwatorów Ukraina ześlizgiwała się w objęcia Rosji. Z tych objęć niełatwo się wydostać. Najbardziej intensywna penetracja Ukrainy odbywała się w sferze ekonomicznej i przenosiła się na sferę polityczną i wojskową. Prezydent Kuczma i skupiona wokół niego znakomita większość klasy politycznej mieli wybitny udział w tym procesie. Kluczem była niewątpliwie „hegemonia energetyczna” Rosji wobec Ukrainy i zgoda Kijowa na przystąpienie do „wspólnej przestrzeni gospodarczej” z Rosją, Białorusią i Kazachstanem. Efektywne wejście Ukrainy w tę „przestrzeń” odetnie ją od Europy, a Rosji umożliwi pełną dominację w strefie, którą uznaje za geopolityczne minimum dla odgrywania przez nią w bodaj rudymenarnym kształcie jej historycznej roli w Eurazji, czyli utrzymania cywilizacyjnej odrębności tej strefy, zgodnie z paradygmatem Huntingtona<sup>78</sup>.

<sup>77</sup> A. Nivat, 'What is happening is worse than a war', „IHT” z 6 sierpnia 2003; A. Glucksmann, *Our Greatest Sin of Silence*, „The Wall Street Journal” z 2 października 2003 r.; F. Hiatt, *Sacrificing Principle To Putin*, „The Washington Post” z 16 grudnia 2003 r.

<sup>78</sup> Wywołany przez Rosję spór o wystającą z Cieśniny Kerczeńskiej niewielką piaszczystą łacze – wyspę Tuzła, która już od wczesnych sowieckich czasów należała do Ukrainy – był pozytywnym z perspektywy Moskwy testem na odporność Ukrainy na kompleksowe rosyjskie naciski w newralgicznym miejscu, bo zamieszkanym głównie przez Rosjan. Test pokazał podatność Kijowa na zmierzające do pełnej wasalizacji Ukrainy zabiegi Moskwy. Zdaniem ekspertów spór był praktycznym przejawem realizacji ogłoszonej przez Putina w majowym (2003) wystąpieniu przed parlamentem koncepcji „wielkiej Rosji”. P. Felgenhauer, *From Tuzla to 'Great Russia'*, „The Moscow Times” z 30 października 2003 r.; I. Berman, *Sliding back into Moscow's orbit*, „IHT” z 5 listopada 2004 r.

Podwójne rozszerzenie, UE i NATO, przesuwa polityczne granice Zachodu po linię Huntingtona. W ten sposób **znika geopolityczna Europa Środkowa**, wyodrębniona z rozmysłem przez Polskę i inne państwa regionu w rezultacie Wiosny Ludów '89, co było jednak oparte na mocnych podstawach cywilizacyjnych. Teraz te kraje czeka dalsza uporczywa praca, by w pełni stać się klasyczną Europą, która im cywilizacyjnie „uciekła” w okresie sowieckiego władania nad tą częścią kontynentu. Większość krajów regionu doskonale to rozumie. Tylko nieliczne (zwłaszcza Polska), niczym Rosja, zdają się wahać: odrabiać zaległości i stać się w pełni nowoczesną Europą czy być pomocnikiem w globalnej strategii Ameryki.